ZŁOTY RÓG
ILUSTROWANY
TYGODNIK
LITERACKI ARTYSTYCZNY
I SPOŁECZNY

REDAKCJA i
ADMINISTRACJA
WARSZAWA
UL. KRÓLEWSKA 27
TEL. 152-05.

№ WARSZAWA 31
DNIA 3 SIERPNIA 1913 R.

Prasa i dziennikarstwo nasze.

„Bardzo licha była tego roku obrywka z Gazetów Polskich, bo bardzo mało było Ichmościów, którzy się w nich kochali, więc przydzie mi tego roku ich poniechać, aż obaczę da Bóg! za rok, jeżeli się Ich Mościów więcy znaydzie, którzyby chcieli Polskie trzymać Gazety, tedy znowu mają być drukowane..."

Tak pisał w 52 numerze „Poczty Królewskiej" w r. 1720 wydawca i drukarz polski Jan Dawid Ceukier.

To samo zresztą bez mała mogłoby napisać wielu wydawców współczesnych, którzy „z powodów niezależnych od wydawnictwa" zawieszają czasopisma, myśląc z niemałym smutkiem o miljonie prenumeratorów *Matin'a* lub *Times'a* i o tem, że żadne polskie pismo nie doprowadziło dotychczas nawet do stu tysięcy czytelników.

A początki naszego dziennikarstwa są bardzo dawne, jeśli się weźmie pod uwagę, że „Merkurjusz polski", wydany w r. 1661 przez Jana Gorczyna w Krakowie nie był ściśle pierwszem czasopismem pojedyńczem w Polsce. Bentkowski i Czacki wspominają, że już za Władysława IV pojawiły się drukowane „wiadomości obozowe", donoszące o ruchach wojsk i powodzeniu oręża polskiego; zresztą sam „Merkurjusz" zastał już wielu konkurentów w przeróżnych „Wesołych Gazetach", „nowinach", „relacjach", „awizach" i innych ulotnych pisemkach.

Z końcem ośmnastego wieku mieliśmy 19 regularnych czasopism, a w latach 1830-50 urabiało się nasze dziennikarstwo na modłę europejską.

Jeżeli mowa o powodach przydługiego zarania dziennikarstwa polskiego, to powołać się można tu na zdanie Joachima Schwarzkopfa, który upatrywał powody wątłej ilości czasopism w małej ilości odbiorców i monopolu Ks. Łaskina na wydawanie pism, na mocy przywileju królewskiego. Więcej jeszcze brać należy na wzgląd konserwatyzm polski, który trudno przyzwyczajał się do wszelkich nowości i ruchliwe, półobozowe życie dawnej szlachty, nie sprzyjające ani rozwojowi oświaty, ani czytelnictwa.

Jeżeli jednak w zmienionych warunkach w połowie i z końcem XIX wieku prasa nasza i dziennikarstwo nie dorównały poziomowi zagranicznemu, to główny powód dojrzeć można w politycznych warunkach bytu naszego narodu, które ograniczyły do minimum wolność a więc i możność rozwoju prasy i pozatem przyczyniły się do zastoju ekonomicznego, wpływającego w dużej mierze na wzrost czytelnictwa.

Obecnie posiadamy około 200 pism w Galicji, trochę więcej w Królestwie, zaledwie kilkadziesiąt w Poznańskiem, około 100 w Ameryce i kilkadziesiąt w różnych innych krajach.

Wspomniano kiedyś, że prasa polska wszystkich trzech dzielnic różni się bardzo między sobą duchowym wyglądem tak, jakgdyby nie służyła jednym i tym samym ideałom. I to powodowane jest temi samemi przyczynami. Roznamiętnienie polityczne, tak bardzo charakterystyczne dla Galicji spra-

wia, że cała jej prasa służy przeważnie sprawom polityczno-polemicznym; mało tam czasopism, poświęconym zagadnieniom sztuki, literatury i innym działom fachowym; braki prasy galicyjskiej uzupełnia Królestwo, gdzie znajdujemy z górą 30 celniejszych pism literacko-artystycznych i społecznych, około 20 lekarskich, 10 bibljograficznych i t. p. z 15 wychowawczych, kobiecych i dla młodzieży i cały szereg sportowych, przemysłowych, handlowych i zawodowych. Tym samym sprawom poświęca prasa codzienna Królestwa o wiele więcej miejsca, niż prasa galicyjska.

Naogół jednak rzecz wziąwszy, cała prasa polska, szczególniej codzienna, różni się wybitnie od prasy zagranicznej. Nie ma w niej tego wielkoświatowego nerwu dziennikarskiego, charakterystycznego dla głośnych dzienników francuskich i angielskich; wszystkie sprawy rozpatrywane są pod kątem ściśle lub pseudonarodowym, rzadko kiedy ogólnoludzkim, silnie życiowym.

Nie powiadamy przez to, jakoby prasa zagraniczna pozbawiona była ducha narodowego, lub by czasami nie płynęła fala nagłego wybuchu szowinizmu nawet; lecz chodzi o zaznaczenie faktu, że w organiźmie dziennikarstwa polskiego nie tętni stubarwną kroplą ta specyficzna krew, która z prasy uczyniła siódme, może najpotężniejsze mocarstwo.

A definicja tego specyfiku? —

W „Próchnie" określił Wacław Berent istotę wielkoświatowego dziennikarstwa jako genjalny paszkwil. Powiedziane to trochę po literacku a więc nieściśle i przesadnie. Ziarno prawdy tego powiedzenia polega jednak na tem, że dziennik wielkoświatowy nie rodzi się na biurku, lecz na ulicy, wogóle na platformie najbardziej bezpośredniego życia. Stąd ów niedościgniony dla nas typ i potrzeba reportera i reporterki w wielkim stylu, których brak zupełny w Królestwie i Poznańskiem, w Galicji zaś brak ogromny, mimo cały reporterski sposób redagowania pism. Zagranicą dziennikarz wciska się przemocą we wszystkie pory życia, *myśli i czuje fibrami życia*, jeśli tak można powiedzieć, za to dość mało pisze; są tacy, którzy oddali nieocenione usługi prasie, nie napisawszy nigdy ani jednego wiersza.

U nas proponowano raz pewnemu pismu, by wysłało w podróż do Ameryki korespondenta razem z partją emigrantów, przebranego za emigranta i zdecydowanego do czasu żyć wyłącznie życiem emigranta i dzielić jego losy. Było to w dobie, gdy sprawa emigracji zaprzątała wszystkie umysły. Był pod ręką człowiek wolny i zdeterminowany, bystry obserwator, pismo samo posiadało zaś aż nadto śroków, by pokryć koszty ekspedycji; mimo to nie skorzystano z propozycji i zadowolono się jałowymi artykułami, pisanymi na podstawie sprawozdań P. T. E. i innych podobnych źródeł.

Tu właśnie powód, dlaczego dziennikarstwo nasze nie dorównywa zagranicznemu, dlaczego zresztą w społeczeństwie nie wzrasta głód pracy. Za mało jesteśmy psychologami, nie posiadamy zdolności organizujących w wielkim stylu, skąd też raz po raz zjawia się u nas jakiś Ceukier, który się żali, że bardzo licha była tego roku obrywka z Gazetów Polskich".

Poza naturą i samorodnym talentem, jaki nieodzowny jest każdemu dziennikarzowi, winien on posiadać jeszcze odpowiednie ukształcenie specjalne. Gdzie go jednak nabyć, gdy w całej Europie są zaledwo dwie akademje dziennikarskie, szkoły średnie zupełnie do tego zawodu nie przygotowują, zaś przekonanie ogółu o dziennikarzu streszcza się w następującym *autentycznym* liście:

„Szanowny Panie Redaktorze! Nie wiem doprawdy, jakim sposobem opisałabym Panu dość wymownie mój obecny los; po śmierci mego męża w coraz gorszych jestem kłopotach a mój Wacio nic a nic nie chce się uczyć; ze szkoły przemysłowej musiałam go odebrać, również i w kantorze nie długo popasał, więc myślę, że chyba najlepiej będzie, gdy go pan Redaktor umieści przy swojej gazecie; bo bardzo zdolny chłopak i okrutnie się rwie do pisania..."

Tych jednak kilkuset ludzi, którzy z prawdziwem poświęceniem i umotywowanem zamiłowaniem oddają swe życie i zdolności na usługi polskiej prasie, spotyka los mocno nieszczególny. O doli ich pisano wymownemi słowami w ostatnich dniach w jednem z tygodniowych pism warszawskich, przeto nie widzimy potrzeby powtarzania smutnego słowa, które i tak zdaje się, długo jeszcze pozostanie głosem wołającego na puszczy. W niej tkwi może najgłębszy ko-

rzeń wszystkiego złego i niemoc wydźwignięcia prasy i dziennikarstwa polskiego na odpowiednią wyżynę.

Zdobywamy się na instytucje, które hodują pieczołowicie dobre gatunki psów i dbają o rasę koni wyścigowych; mamy uważne oko na wszystkie niedostatki naszego handlu i przemysłu i staramy się im w rozliczny sposób zaradzić, nikt jednak nie myśli o ochronie ludzi prawdziwego talentu i temperamentu, nikt nie troszczy się o udoskonalenie i powiększanie kontyngentu tych częstokroć bezimiennych pracowników, którzy kształtują opinję publiczną, którzy są odpowiedzialnymi wyrazicielami w drukowanem słowie całego naszego wnętrza narodowego, którzy własnowolnie z umiłowania lub pod naciskiem zewnętrznym okoliczności wzięli na własne barki jedno z najcięższych brzemion—skuteczne i uczciwe władztwo słowem.

Bolesław Bourdon.

Karol Larsson. Autoportret.

KAROL LARSSON.

W sztuce skandynawskiej poczynającej się wysuwać na przednie miejsce w twórczości ludów Europy, tkwi, prócz romantycznego czaru sagów i baśni, pierwiastek radości z życia i szczerego ukochania przyrody.

W przeglądzie współczesnej europejskiej sztuki, dzieła Norwegów i Szwedów działają kojąco na wyobraźnię naszą, darząc ją świeżem tchnieniem morskiego powiewu, z nad brzegu fjordów i ożywczem ciepłem ogniska w cichym, schludnym domku, pełnym barw i form charakterystycznych zdobnictwa skandynawskiej ludowej sztuki, stanowiącej kolebkę pokrewnej Zakopiańszczyzny i Tyrolszczyzny.

Karol Larsson ujrzał światło dzienne w ubogiej sadybie robotnika, w Stokholmie w r. 1853.

W samym zaraniu młodości obudził się talent artysty, wyrażony w licznych fantastycznych rysunkach i drzeworytach. Ilustracja bajek Andersena wydobyła Larssona na powierzchnię życia, zapewniając mu środki materjalne na wyjazd do Paryża i gruntowne kształcenie się

w rysunku i oddychanie tą ożywczą atmosferą, jaką dla utalentowanego artysty może być Paryż.

„Amor i Merkury“, „Śpiew poety o zachodzie słońca“ zjednały Larssonowi zaszczytne uznanie Jury „Salonu paryskiego“. W roku 1885, rząd francuski nabywa akwarelę Larssona „Damę“. Później przebywa artysta stale w Stockholmie i w Gothenburgu zaszczycany odwiedzinami dwu swoich mecenasów, Coquelin'a starszego i księcia Pontus-Fürstenberga.

Karol Larsson jest jednym z najwybitniejszych rysowników współczesnej epoki. Pod wpływem francuskich impresjonistów, Larsson przechodzi podobną ewolucję jak i nasz Wyspiański. Obaj w Paryżu zapoznają się z potęgą linijnej sylwety, obaj przenoszą punkt ciężkości malarskiej kompozycji na mocny kontur, którym zaznaczają istotne kształty przedmiotów i osób, podkładając je plamami subtelnej akwareli.

Larsson nie odtwarza rzeczywistości z fotograficzną wiernością, lecz stylizuje ją nie w chorobliwy sposób Beardsley'a, lecz w duchu realistów z roku 1880.

Z dawnych mistrzów najwięcej upodobania znajduje Larsson w Botticellim, odgraniczając się od niego mocnym murem naturalizmu.

Już oddawna uchodzi Larsson za najpopularniejszego malarza Szwecji a jego historyczne freski w muzeum narodowem w Stockholmie a zwłaszcza „Wjazd Gustawa Wazy do Stockholmu w dniu św. Jana w r. 1523“, należą do najbardziej umiłowanych przez lud szwedzki obrazów.

Lecz nie wielkie historyczne freski ugruntowały sławę Larssona, lecz nieduże akwarele, ilustracje książek i rysunki, przedstawiające wnętrze domu Larssona w Sundborn.

Domek swój w Sundborn ukochał Larsson nadewszystko, mówiąc o nim, iż „jest osią świata!“

Karol Larsson. „Mój synek“.

I doprawdy, którykolwiek nam kącik Larsson w rysunku przedstawi, czy to wdzięczną izbę dziecinną, czy ubieralnię żony, czy też poddasze, wszystko przesycone jest serdecznem ukochaniem i zapoznając nas z duszą każdego przedmiotu, który ożywia wnętrze mieszkania, zdobionego wykwintnym smakiem artysty.

A cóż dopiero, gdy Larsson te wdzięczne kąciki, romantyczne zakamarki, zaludni miłą, czerstwą dziatwą, gdy postaciom swym nada wyrazy fantastycznej refleksji, na temat „Złudy teatralnej“, gdy umieści swą córeczkę w pięknym stroju szwedzkiej wieśniaczki na drabinie malarskiej, z miną nieustraszonej, nawet w tych zawrotnych wysokościach patrycjuszki. Z jakąż fantazją odtwarza Larsson perspektywę pokoji swego drewnianego domku, który urasta do wizji zaczarowanych pałaców. A dzieci Larssona?

To nie słodziutkie z ufryzowanymi filuternie loczkami amorki Sykstyny, nie brudasy Murilla, nie przemądrzałe, pozujące do aktu dzieciaki Rubensa, lecz zdrowe, pełne uduchowienia dzieci północy, które kochają zarówno wyśnione baśnie Selmy Lagerlöff, jak i stalowy oszczep—odwieczną broń przodków.

Larsson jako ilustrator nie jest wiernym malarskim historycznym tłumaczem, lecz daje się unosić polotowi fantazji i stwarza własne koncepcje malarskie, łączące się z zadaniami wykwintnie pojętego zdobnictwa książki.

Larsson, jako rysownik i akwarelista zajął w współczesnej europejskiej twórczości stanowisko niedoścignionego mistrza.

Niejedno społeczeństwo, zazdrosnym okiem spogląda w stronę fjordów skąd coraz jaśniej świta północna zorza, oświetlającą nową epokę twórczości europejskiej, wydając potężne talenty na wszystkich polach sztuki.

Marjan Dienstl.

Karol Larsson. „W pokoju dziecinnym".

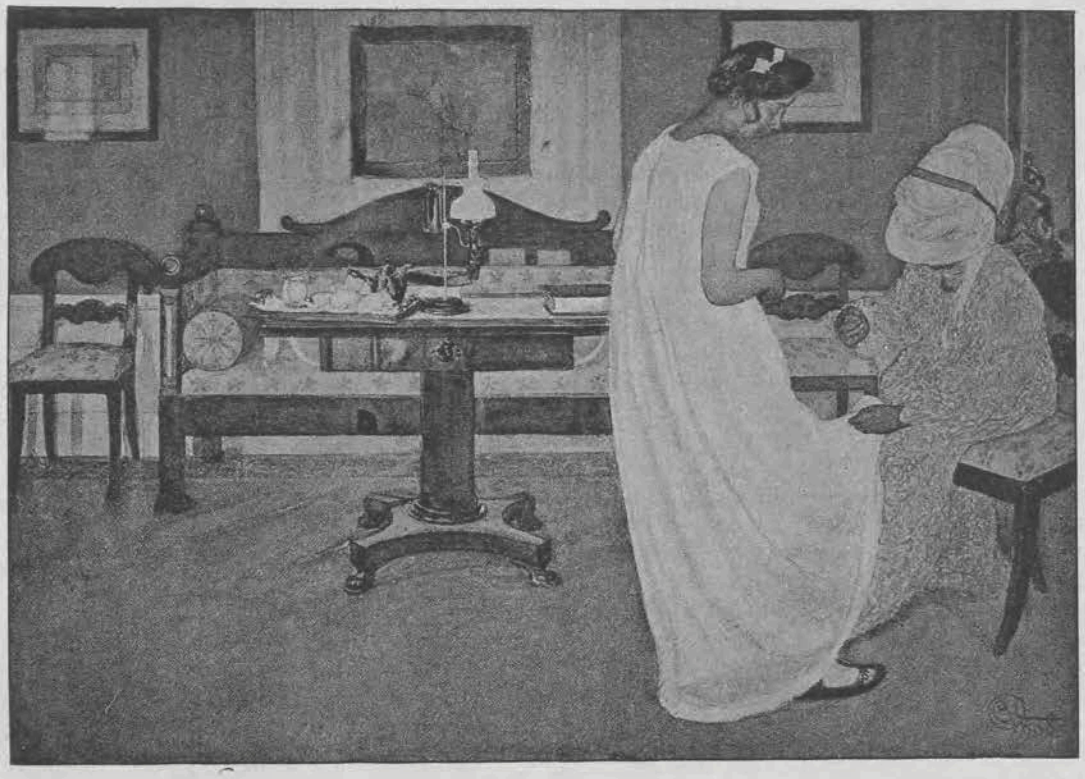

Karol Larsson. „W domu".

Powszechne nauczanie.

Podstawą bytu każdego narodu i koniecznym stopniem do dalszego rozwoju, jak szkoła początkowa.

Od jej najszerszego rozpowszechnienia a także i postawienia na wysokim poziomie wychowawczym, zależy normalny postęp tak w kierunku moralnym jak ekonomicznym danego społeczeństwa.

Zrozumiały to już oddawna ludy zachodniej Europy, otaczając szczególną pieczołowitością szkolnictwo elementarne. Za jego pomocą czyniona jest selekcja zdolniejszych jednostek, które iść dalej będą mogły drogą zdobywania szerszej wiedzy, ono to sprawia, że ogół nabiera wiadomości niezbędnych, które ułatwiając pracę zarobkową, dają mu zarazem poczucie i uświadomienie obywatelskie.

Ze wszystkich ziem polskich najnormalniej kwestja początkowego nauczania rozstrzygnięta jest w Galicji. Wykład odbywa się tam w języku rodzimym uczniów, do niedawna niedostateczna liczba szkół początkowych, wzrasta z każdym rokiem, tak że wystarcza jeszcze założyć tylko 82 szkoły, aby nauczanie stało się powszechne. Co najważniejsze jednak, obecnie prowadzoną jest silna akcja w kierunku zmiany systemu dotąd praktykowanego a będącego smutną pozostałością dawnych biurokratycznych rządów. 7000 nauczycieli elementarnych zorganizowało się w związek, który prowadzi narady nad reformą nauczania początkowego za pomocą wyrugowania tłómaczonych z niemieckiego podręczników, dania szerszych atrybucji historji i geografji ziemi ojczystej i oparcia systemu na wskazaniu praktycznem faktów z życiem związanych. Coraz częściej wprowadza się do szkółek początkowych galicyjskich naukę ogrodnictwa, rzemiosł i rolnictwa, urozmaicając pokazy i prace, pouczającemi pogadankami z dziedziny przyrody.

Związek nauczycieli usiłuje też wywrzeć nacisk na sfery miarodajne, co do powiększenia wynagrodzenia, jak dotąd bowiem, jest to pensja „głodowa“, która jakichkolwiek aspiracji kulturalnych zadowolnić nie może.

Systematycznie, ze znaną pedanterją niemiecką, ma zaprowadzoną sieć szkolną zabór pruski, wiemy jednak o tem, że słowo polskie jest tam skazane na banicję i cały system nauczania skierowany jest w celu zupełnego wynarodowienia polskiego żywiołu. Jak się to dzieje jednak, że pomimo tych eksterminacyjnych usiłowań, prasa perjodyczna ludowa w Poznańskiem, w Prusach Zachodnich i na Ślązku ma setki tysięcy prenumeratorów? Sama Gazeta Grudziądzka ma ich 100,000, gdy pisma ludowe w Królestwie na dziesiątki tysięcy przedpłatników najwyżej liczyć mogą.

Niemiecka szkoła elementarna przy całej swej szkodliwości, daje jednak uczniowi polskiemu klucz do otwarcia Sezamu wiedzy — *uczy go czytać i pisać.* To nam posłuży za punkt wyjścia do omawiania kwestji zaprowadzenia powszechnego nauczania w Królestwie.

Dzięki usiłowaniom jednostek z łona inteligencji, powstają obecnie wśród naszego ludu kółka i stowarzyszenia, które podnoszą oświatę i dobrobyt ekonomiczny, wszystkie te jednak nowotworzące się instytucje nie mogą się dostatecznie rozwinąć, gdyż natrafiają na przeszkodę wprost nieprzezwyciężoną — *znaczna część naszego ludu miejskiego jak wiejskiego nie umie czytać i pisać po polsku.*

Nie łudźmy się pozorami naszej kultury, naszym rzekomym rozwitem sztuki i literatury; dopókąd każda jednostka w kraju nie potrafi czerpać samodzielnie z jej skarbca, dopókąd istnieć będzie niezgruntowana przepaść pomiędzy nieliczną inteligencją a miljonami ciemnego i nieuświadomionego ludu, dopotąd nie będziemy narodem.

Do niedawna jeszcze mieliśmy pewną wyższość nad obszarami olbrzymiego rosyjskiego imperjum; prace komisji edukacyjnej, jej tradycja konieczności rozpowszechniania oświaty, żyły wśród ogółu i skłaniały szlachetniejsze jednostki do prywatnych usiłowań oświatowych — pozornie zdawaćby się mogło, że zdziałało się i zdziałać będzie mogło dużo w tym zakresie, smutna jednak wymowa cyfr, twierdzi inaczej.

W 1897 r. w Królestwie na 1000 ludności tylko 305 umiało czytać a jeżeli będziemy brali pod uwagę dzieci do lat 9-ciu, to na 100 ludzi płci obojej było tylko 41 umiejących czytać. Dziś nie można przypuszczać, aby ten stan o wiele się poprawił *).

W Rosji tymczasem postęp w kierunku rozpowszechniania początkowego nauczania idzie nadzwyczaj szybko, gdy przed 30 laty przewyższaliśmy Cesarstwo w tym zakresie i gdy w roku 1880 w 50 guberniach było szkół elementarnych wiejskich 20.483 wraz z 1,026,474 uczniami, w Królestwie było szkół 2,284 i 114,441 uczniów, czyli na 100 szkół i uczniów w Rosji było w Królestwie 11 szkół i uczniów.

W 1911 r. było w Rosji Europejskiej 76,617 szkół wiejskich i uczniów 4,479,865 a w Królestwie 3,760 szkół i 251,651 uczniów, czyli że w 1911 r. na 100 szkół i uczniów w Rosji przypadało w Królestwie zaledwie 5 szkół i uczniów.

Nie postępujemy więc, ale się cofamy, bo jest dziś dwa razy mniej polaków uczących się w szkołach wiejskich, w stosunku do Rosjan, niż było przed 30 laty.

Cóż dopiero gdy porównamy stan oświaty ogólnej ze szkolnictwem Europy środkowej — w Niemczech na 2000 ludzi powyżej lat 9-ciu *tylko jeden* nie umie czytać i pisać, w Szwecji i Szwajcarji jeden na tysiąc, w Danji dwoje ludzi na tysiąc, w Anglji jeden na sto, we Francji dwoje na sto. W Austro-Węgrzech gdzie

*) Wł. Grabski. O nauczaniu powszechnem szkół ludowych.

jest dużo słowian, znajduje się 26 na 100 analfabetów, we Włoszech zaś 31 na 100.

Nawet w Bułgarji, która niedawno dopiero wyzwoliła się z pod dzikiego jarzma tureckiego widzimy stosunkowo więcej dzieci w szkołach niż w Królestwie; liczby wykazują, że jest ich 3 razy więcej niż u nas.

Prawodawstwo rosyjskie postawiło sobie za cel zaprowadzenie w ciągu lat 10-ciu powszechnego nauczania na całym obszarze Państwa, na ten cel skarb przeznaczył znaczne miljonowe sumy, z których mają się udzielać zapomogi na budowę a ewentualnie na zasiłek do utrzymania nowych szkół, jak na pensje nauczycieli i t. p.

W 1909 r. do urzeczywistnienia tą drogą powszechnego nauczania przystąpiło w Rosji 98 powiatów i 12 miast; w 1910 r. zwiększała się stopniowo ta liczba i dziś już 350 powiatów i 159 miast przystąpiło do powszechnego nauczania, dostając od skarbu 1,695,285 rb. zasiłku, ziemstwa zaś otrzymały 19,827,603 rb.

Na 1913 rok przeznaczone jest 54,598,740 rb. do repartycji pomiędzy ziemstwa i miasta. W jaki sposób na tę ważną sprawę reagowało Królestwo?

Inteligencja nasza nie zajmowała się nią wcale, polegając jak dotąd na usiłowaniach oświatowych prywatnych, które jednak, jak mowią cyfry, okazały się w stosunku do ciągle wzrastającej ludności zupełnie nie wystarczające. Uważano szkoły początkowe rządowe za zło konieczne, nie zajmując się niemi prawie wcale, włościanie zaś, którzy mają lokalny samorząd w postaci gminy, nie umieli go wykorzystać, nie uważając owej gminy za prawomocną do zakładania szkół początkowych.

Nie wiedzieli też nic zgoła o przeznaczonych na ten cel zapomogach rządowych.

Naraz jedna z gmin w Łowickiem, Bąkowo, dowiedziała się funduszu szkolnym i o prawie dotyczącem sieci szkolnej. Sprobowano czy prawo przyznane ziemstwom w Rosji, nie dałoby się i na nasze gminy rozciągnąć. Po długich dosyć staraniach uzyskano zapomogę na budowę nowych szkół, opodatkowano się z morgi, dla osiągnięcia brakujących funduszów i dziś gmina Bąkowo jest na drodze do osiągnięcia stopniowego już w roku 1918-ym, powszechnego nauczania.

Za jej przykładem poszły gminy w Płockiem, codziennie prawie ogłaszane są nowe uchwały w tym kierunku. Łódź i powiat Łódzki rozpoczęły też akcję szkolną, ruch rozpościera się po całym kraju, sekundowany i gruntowany przez b. posła Wł. Grabskiego, który całą sprawę dokładnie w Petersburgu przestudjował i wydał doskonały podręcznik dla informacji zainteresowanych.

Nie można jednak przyjąć jej bez zastrzeżeń, tem więcej, że z nowem prawem przez dumę uchwalonem otwiera się możność swobodniejszego zakładania szkół prywatnych z polskim wykładem, usiłowaniom więc prywatnym przybywa nowy bodziec i podnieta. Co do szkół rządowych początkowych należy do naszej inteligencji współdziałanie z rozwiniętą przez włościan akcją.

Cała prasa, z wyjątkiem Tygodnika Polskiego, oświadczyła się za powszechnem nauczaniem, co prawda opozycja byłaby sporem czysto akademickim, wobec tego, że lud nasz chce szkoły, postanowił wyjść z dotychczasowego anafalbetyzmu i chwyta za środek, który mu ją ułatwi i stworzy szkoły w najkrótszym czasie. Nie można jednak pominąć milczeniem objekcji Tygodnika Polskiego.

Społeczeństwo nasze *musi* poza szkołą rządową prowadzić nadal i to coraz intensywniej prywatne usiłowania oświatowe; mamy przykład na Galicji, gdzie pomimo oficjalnego szkolnictwa, istnieje cały szereg prywatnych instytucji, Kursy Tow. Szkoły Ludowej. Najszersze warstwy, nietylko muszą umieć czytać i pisać, ale potrzebują jeszcze być *wychowane* w duchu narodowym.

Wychowanie to tworzy atmosfera ogólna, literatura i sztuka, ten skarbiec duchowego dorobku, do którego *każdy* mieć powinien dostęp ułatwiony.

A także najważniejszą jest rzeczą współżycie i współdziałanie z nauczycielstwem, wytwarzanie ze społeczeństwa jaknajwiększej ilości osób, zajmujących się nauczaniem, zakładanie środkami prywatnymi seminarjów nauczycielskich, których liczba jest zbyt mała obecnie a będzie coraz więcej niewystarczającą.

Ufajmy też ludowi naszemu, że on, co zachował od wieków prastary, nieskażony piastowski obyczaj — uniesie go jak arkę przymierza, z pośród napływających obcych fal.

J. W. K.

NAJEMNICY ROLNI.

Jedna z najżywotniejszych spraw w kraju naszym—warunki najmu i bytu robotników i wszelkiego rodzaju pracowników rolnych, jest najbardziej zaniedbana a najmniej zbadana. Skutkiem tego w roku każdym wzrasta wychodźtwo zarobkowe, z rokiem każdym rolnicy nasi podczas najpiękniejszych robót polnych są w coraz cięższem położeniu. W ostatnich latach zdarzały się nawet wypadki pozostawienia na polu zbóż całkiem niesprzątniętych. Tymczasem ruch wychodźtwa zarobkowego jest dziś już tak wielki, że liczba robotników emigrujących na zarobki, dochodzi do 300 tysięcy. Jest to już ogromna armja, której wyjście z kraju musi odbijać się ujemnie na rolnictwie i daje się odczuwać bardzo dotkliwie.

Pomimo to wszystko, warunki pracy, najmu i potrzeb robotników rolnych w kraju nie są wcale zbadane a skutkiem tego niepodobna obmyśleć żadnych konkretnych środków zaradczych.

Dopiero teraz istniejąca przy wydziale społeczno-ekonomicznym Centralnego Towarzystwa Rolniczego w Warszawie, szkoła służbowa wobec rozbieżności warunków pracy i płacy oraz warunków bytu służby i najmu w różnych okolicach kraju, postanowiła zebrać odpowiednie dane statystyczne i zasięgać w tej sprawie opinję od okręgowych towarzystw rolniczych, oraz od warunków poszczególnych. Sekcja rozesłała w tym celu kwestjonarjusz odpowiedni. Dopiero na zasadzie zebranych danych będzie mogła dokonać wszelkich ulepszeń i zmian. Do sekcji należą delegaci stowarzyszenia pracowników rolnych i przedstawiciele rolniczych towarzystw okręgowych.

Były już niejednokrotnie próby zbadania tych stosunków a prace Warszawskiego Komitetu Statystycznego, jakkolwiek niewyczerpujące, ułatwiają już wyprowadzenie pewnych wniosków. Według tych danych, zebranych przed kilku laty, w obrębie Królestwa Polskiego największa praca daje się spostrzegać w gub. Suwalskiej, t. j. 41 kop. przeciętnie (na własne utrzymanie robotnika). Przeciętnie we wszystkich dobrach Królestwa Polskiego zarobek dzienny robotnika wynosi wszystkiego 35 kop. a w Kieleckiej i Radomskiej 30—31 kop.

Najwyższa płaca w Królestwie, wynosząca według Komitetu statystycznego 42 kop., jest cyfra, daje się spostrzegać zaledwie w pięciu gugerniach Cesarstwa: Mińskiej, Wileńskiej, Wołyńskiej, Wiackiej i Permeńskiej. Natomiast skala przeciętna dla całego Królestwa (35½) nigdzie więcej nie jest praktykowana w całem Cesarstwie. Najniższą płacę pobierają robotnicy podzienni w gub. Grodzieńskiej, ale i tam jest ona wyższą niżeli przeciętna w Królestwie, wynosi bowiem 38 kop.

To samo zjawisko spostrzegamy w płacy kobiet robotnic wiejskich. Podczas gdy w Cesarstwie przeciętna płaca robotnicy wynosi 36 kop., w Królestwie Polskiem zaledwie 25 kop. Taka nizka skala nigdzie nie jest praktykowana w Cesarstwie. I tutaj gub. Suwalska zajmuje pierwsze miejsce, najniższa płaca 28 kop. na własne utrzymanie. Najwyższa przeciętna płaca robotnic wiejskich w Królestwie podczas robót polnych jest o 42% niższa niżeli w Cesarstwie.

Wprawdzie w okresie porewolucyjnym tu i owdzie stosunki znacznie się zmieniły; bardzo wielu ziemian postarało się o naprawę warunków, ale na ogół stan rzeczy może się niewiele różni od tego, co stwierdził Warszawski Komitet Statystyczny.

Jakież przyczyny wywołują wogole nizką płacę robotników?

Do jednej ważniejszych niewątpliwie należy gęstość zaludnienia, co sprowadza nadmierną podaż rąk roboczych. Wogóle całe Królestwo Polskie odznacza się taką gęstością zaludnienia, że w Cesarstwie stopniowi odpowiadają zaledwie trzy gubernje; Podolska, Kijowska i Moskiewska, przy czem ta ostatnia tylko dzięki temu, że posiada tak wielkie miasto jak Moskwa.

Gęstość zaludnienia sama przez się wprowadzałaby nadmiernie nizką płacę roboczą, gdyby wielka podaż rąk równoważyły się wielkim popytem w fabrykach oraz w ogniskach przemysłu drobnego. Jak wiadomo, wielki przemysł fabryczny zaogniskował się głównie w gubernjach Warszawskiej i Piotrkowskiej. Przemysł drobny, zwłaszcza włościański, jest bardzo słaby, niema tedy ujścia do sił robotniczych ze wsi i jakkolwiek w okolicach wielko-fabrycznych spostrzegamy znaczne wychodźtwo ludowe a wiejskiej do miast i osad, nie reguluje to wszędzie poziomu płacy, gdyż, jak rzekliśmy, stoi temu na przeszkodzie tak wielkie zaludnienie, że nawet w okolicach typowo przemysłowych panuje to zjawisko, co w innych okolicach kraju, wyłącznie rolniczych. To też w tych porach roku, w których zapotrzebowanie robotników wiejskich spada do minimum, tj. w zimie, płaca jest niesłychanie nizka. Ponieważ zaś okres ten jest najdłuższy, więc w budżecie zarobków rocznych stanowi znaczną szczerbę. Biorąc w rachubę 290 dni roboczych otrzymamy (według obliczeń Warszawskiego Komitetu Statystycznego) roczny zarobek rodziny (2 osoby dorosłe, stanowiącą siłę roboczą) 134 rb. przeciętnie. Zarobek najwyższy, w ten sposób obliczony, wynosi 161 rb. (gub. Suwalskiej, najniższy 119 (Kielecka). Jak to? wszakże cyfra zapewne wyższa od rzeczywistej, należy bowiem mieć na uwadze choroby a nadto —w wielu okolicach kraju przymusowe bezrobocie, które jest zjawiskiem dość częstem przez cały rok a najdotkliwszem w zimie.

Do ważnych czynników, wpływających na skalę zarobków, zaliczyć trzeba jeszcze rozmiary i stan własności ziemskiej, wogóle zaś stan ekonomiczny ludności wiejskiej. Gub. Suwalska posiada przeważnie własność włościańską, lub zaś odznacza się większą zamożnością, niż gdzieindziej. Te właśnie przyczyny, łącznie ze sła-

bem zaludnieniem, wpływają na wyższą skalę zarobków. Większa własność stanowi tam 26%, podczas gdy włościańska 70%. Przytem włościanie w gub. Suwalskiej posiadają największe obszary ziemi. Przeciętnie na każdego właściciela przypada tam 22 morgi, podczas gdy w innych guberniach od 6-ciu do 12-tu. To też zamożni przedstawiciele własności włościańskiej nietylko nie idą na zarobki, lecz, przeciwnie, sami do swoich gospodarstw poszukują rąk roboczych, gdyż przy pomocy tylko sił rodziny nie mogą podołać pracy na swoich gruntach dość rozległych. Poszukują oni robotników nie rocznych, nie familijnych, jak obywatele ziemscy, lecz podziennych, werbowanych z kategorji bezrolnych. W tych właśnie warunkach tkwi główna przyczyna względnie wysokiej płacy robotnika pracującego na dniówkę w gubernji Suwalskiej.

Jeżeli wogóle rozejrzymy się w warunkach płacy robotników wiejskich w całym kraju, jeżeli zestawimy płace najemników podziemych z płacą robotników rocznych, to znajdziemy znaczną rozbieżność. Minimalna i maksymalna płaca tych kategorji nie wszędzie rośnie lub spada spółrzędnie.

Czemże się da wytłumaczyć takie zjawisko? Wynika ono z warunków specjalnych pracy i zarobków każej z tych kategorji w różnych dzielnicach kraju. W jednych gubernjach i powiatach widzimy większe zapotrzebowanie robotników dziennych, w innych — parobków rocznych familijnych, jeszcze w innych — ludzi samotnych, także w charakterze robotników rocznych. Większe zaś zapotrzebowanie tej lub innej kategorji pozostaje w ścisłym związku z warunkami gospodarstwa i formą własności ziemskiej, wreszcie z ubocznemi czynnikami ekonomicznemi.

Popyt na robotników ulega także znacznym zmianom tam, gdzie część ludności rolnej stanowi drobna szlachta. Ta właśnie kategorja posiadaczów ziemskich poszukuje przedewszystkiem robotników rocznych, ale nie familijnych, lecz samotnych, gdyż utrzymanie ich jest mniej kłopotliwe i kosztowne.

Znane jest powszechnie zjawisko, że tam, gdzie się rozpostarła wielka własność ziemska, daje się spostrzegać znaczne zapotrzebowanie stałych robotników familijnych.

Do innych czynników, wpływających na poziom zarobków, zaliczyć jeszcze należy gatunek ziemi ornej. Im gleba jest lżejsza, tam mniej wymaga robotników do uprawy i odwrotnie — ziemia ciężka musi być uprawiana za pomocą większej liczby rąk roboczych. Tak np. w gub. Warszawskiej jeden robotnik folwarczny wystarczy na 40 morgów ziemi lekkiej, na 30 średniej i na 12 ciężkiej. Ten zresztą czynnik, jak inne — stopień intensywności gospodarstwa, łatwość znalezienia roboty w porze zimowej i t. d., grają drugorzędną rolę w cenach płacy roboczej. Natomiast znaczenie pierwszorzędne, jak zaznaczyliśmy, mają kategorje i charakter posiadłości ziemskiej, z czego wypływają warunki podaży i popytu rąk roboczych.

Na te wszystkie czynniki powinna zwrócić baczną uwagę sekcja służbowa Centralnego Towarzystwa Rolniczego w swych badaniach, gdyż tylko wtedy można będzie badania rozwinąć wszechstronnie i gruntownie, z wielkim pożytkiem dla kraju całego. Tylko wtedy na podstawie tych badań można będzie obmyślić środki reform i działania, zmierzających do naprawy warunków obecnych.

Zenon Pietkiewicz.

Równouprawniona.

Ilekroć czytamy o wybrykach sufrażystek, lub hałaśliwych, jarmarcznych niemal wystąpieniach rożnego typu feministek— zawsze przed oczami naszemi staje postać zdenerwowanej „damy“, która, nie mogąc inaczej wyładować energji, urządza hece, nibyto dla zdobycia praw dla kobiet.

Równocześnie zwraca się myśl ku tym setkom tysięcy kobiet rzeczywistej pracy, które bezwiednie zgoła zdołały zdobyć faktyczne równouprawnienie — równość pracy i miejsce śród bojowników o byt.

Legion jest tych naszych pracownic, na które patentowane feministki i syfrażystki patrzą z pewną pogardą, jako na tłum nieuświadomionych, legion kobiet, równych męskiej połowie rodu ludzkiego.

Robotnice fabryczne, gospodynie wiejskie, rzemieślniczki— czyż nie dorównały mężczyznom? Nawet niejednokrotnie przerosły ich. A życie dawno już spełniło marzenia eleganckich „bojownic praw“, jeno nie w buduarach, a w chałupie i lichej izdebce.

Są wsie w głębi Rosji, gdzie kobiety biorą czynny udział w naradach gminnych, są grupy pracownicze, gdzie głos ich bywa decydujący. Tylko, że ogół społeczeństwa zwykle mało wie o tem.

Czasem tylko pojedyńczy fakt zwróci na się uwagę i robi się huczek, lecz pierwsze wrażenie przemija, a powinniśmy te fakciki notować i pamiętać.

Jednym z tych drobnych przejawów równouprawnienia kobiecego był fakt wykrycia w Warszawie kobiety-dorożkarza. Antonina Andrzejewska od roku jeździła jako woźnica, zastępując chorego męża. Policja narazie odebrała jej bilet jazdy, lecz pod naciskiem opinji, wydała pozwolenie i dziś energiczna kobieta uprawia swój proceder jawnie i nie gorzej od mężczyzn.

Bez głoszenia haseł, bo—passez moi le mot—awantur i skandali, dopięła swego—jest równouprawniona.

Anatol France w Warszawie.

Bawił w tych dniach w Warszawie, jeden z najznakomitszych pisarzy francuskich, Anatol France, sceptycznie uśmiechnięty ironista współczesności. Sylwetkę

Anatol France.

literacką Anatola France'a, pióra p. Jakóba Appenszlaka drukowaliśmy w zeszłym roku w № 38 „Złotego Rogu".

Stanisław Mendelson.

Na cmentarzu żydowskim w Warszawie złożono w tych dniach zwłoki Stanisława Meneelsona, jednej z najbardziej niezwykłych osobistości, jakie na ziemi naszej pojawiły się w ciągu ostatnich lat 50-ciu. Całe jego życie było szamotaniem się z warunkami, w jakich kraj nasz się znajduje i poszukiwaniem sposobów zmiany w tych warunkach. Umysł jego bystry, o wielkiej inteligencji i wykształceniu, przebywał dziwne ewolucje, dochodząc do krańcowych sprzeczności, a równocześnie znacząc działalność swą śladami wyrazistemi, nad któremi historja kraju naszego będzie zmuszona zastanowić się kiedyś poważnie.

Syn bankiera warszawskiego, za młodu był wyznawcą haseł radykalnych. Odziedziczywszy wielki po ojcu majątek, rzucił się z całą energją swego charakteru w wir ruchu socjalistycznego, Był twórcą, organizatorem i głównym filarem Polskiej Partji Socjalistycznej (P.P.S.). Cały majątek dla niej poświęcił i na nią stracił. Ścigany, umknął do Francji, ale i stamtąd wydalony, znalazł schronienie w Anglji, gdzie wydawał pismo socjalistyczne „Przedświt" a równocześnie, przyjęty w poczet adwokatów angielskich, występował przed sądam, jako obrońca robotników. Bliższe zetknięcie z socjalizmem i gruntowne jego poznanie zraziło go ostatecznie do tego ruchu. Uzyskawszy możność powrotu do Galicji, rozpoczął tam ożywioną działalność w kierunku organizowania ruchu ludowego, budzenia włościaństwa i wciągania go do życia politycznego. Działalność ta nastręczyła mu okazję zetknięcia się z żywiołami umiarkowanemi i zachowawczemi. Przylgnął do nich, widząc przyszłość w zjednoczeniu włościaństwa ze szlachtą. On też był głównym twórcą groźnego w swoim czasie w Galicji pojednania, którego wyrazem było wstąpienie posłów ludowych do Koła Polskiego w Wiedniu. W Galicji Mendelson zasłynął jako wybitny działacz i publicysta. Jego artykuły, przeważnie w „Czasie" krakowskim drukowane, odznaczały się głębokością ujęcia tematu a zarazem formą wykwintną, subtelną.

Przed kilku laty powrócił do Warszawy. Artykuły jego pojawiały się w „Słowie". Trafił na chwilę zaognienia kwestji żydowskiej. Bliższe zetknięcie się z tą kwestją zaprowadziło go do obozu nacjonalistów żydowskich. W ostatnich wyborach czynny wziął udział. Z pod jego pióra wyszła odezwa żydowska do społeczeństwa polskiego, która w swoim czasie takie wzburzenie wywołała i zaostrzyła wielce stosunki polsko-żydowskie. Założył „Przegląd codzienny" — pismo dziwne, bo w języku polskim występujące gwałtownie przeciw polskości. I znów pojawiły się jego artykuły, ale jakże odmienne myślą od dawniejszych prac Mendelsona!.. Życie jego w 55-ym roku przecięła choroba serca, nagle, podczas, gdy pisał artykuł wstępny do redagowanego przez siebie „Przeglądu codziennego".

m.

Konstantyn XII, król grecki, na kwaterze wojennej.

Z regatów o mistrzostwo świata na Tamizie pod Londynem. Zwycięzka obsada.

Femina

TEATR NOWY. — „STRUŚ" I „MĄŻ Z LOTERJI".

TUALETY.

P. Mrozińska. Przemiłe zjawisko w wielkiej tualecie wieczorowej. Estetycznie utrefione piękne blond włosy, zdobne opaskami z brylantów. Suknia *modern style* z blado różowego atłasu *Liberty*, wspaniale haftowana białemi dżetami, śliczny dekold i ramiona okolone powiewną draperją. Wspaniały płaszcz tak zwany *hirondelle*, cały dziany białemi dżetami, z takiem że czarnem obramowaniem i olbrzymią stylową z białego tiulu kryzą. Wspaniałe klejnoty (nasza rycina).

Przebranie. Negliż z cielistego *crêpe chiffon* ślicznie drapowany, przysłonięty *demi manteau* z jedwabnego granatowego *roile'u*.

„Mąż z loterji". Akt I. p. Renard. Misternie rzeźbiony posąg, obleczony w powiewny blado różowy *satin Liberty* rysujący całość postaci, zręczne podpięcie z boku odsłaniające drobne stopy, *ceinture bayadére*, okalająca biodra. Na kruczych włosach biała opaska.

Akt II. P. Renard. Spódnica bardzo szykownym oryginalnym krojem, z jedwabnej mory koloru *vert Nil* z modnemi kieszeniami z przodu. Biała jedwabna *veste*, rękawy *aeroplan*, długa baskina (nasza rycina).

Akt III. P. Renard. Elegancki kostjumek przybrany materją *chiné*, takaż bluza. Całość niezmiernie zręczna.

Marcèle.

„Struś". P. Mary Mrozińska.
Fot. Malarski i Tavrel.

„Mąż z loterji". Akt III. P. Irena Renard.
Fot. Malarski i Tavrel.

PŁASZCZE KĄPIELOWE.

Kto w lipcu i w sierpniu nie był w *Ostendzie*, w *Dieppe*, w *Trouville - Dauville*, a we wrześniu w *Biarritz*, ten nie może sobie dokładnie zdać sprawy z dziwnie gorączkowego sposobu życia gromadzącej się tam publiczności. Jest to wyskok egzystencji paryskiej, ujętej w szczuplejsze, bardziej zacieśnione ramy z tem samem intensywnem pragnieniem zabawy *par force*, oświetlonej jasnem słońcem południa, przepojonej aromatem morskich powiewów. Morze jest tam owym wielkim wspólnikiem, owem majestatycznem tłem, na którem rozwija się tak cudnie cała kobieca zalotność wywołująca tyle podziwów i uwielbień.

Wiedeńskie płaszcze kąpielowe.

Już same kostjumy kąpielowe, tak bardzo wytwornie w bieżącym sezonie obmyślane dla wywołania sensacji, są podstawą elegancji i wymagają młodości i piękności kształtów. Słoneczno-powietrzne kąpiele tak bardzo teraz zalecane, stworzyły nowy tualetowy dział płaszczy, bez których byłyby niemożliwe. W płaszczu takim przepędza się całe godziny, leżąc na plaży na piasku, wygrzewając się na słońcu, rozmawiając, flirtując. Jeszcze przed kilkoma zaledwie laty — kostjum kąpielowy zajmował w podróżnym kufrze maleńkie nic nie znaczące miejsce— dzisiaj eleganckie damy posiadają specjalne kufry dla strojów kąpielowych morskich i słoneczno-powietrznych, z całą kolekcją kostjumów, trykotów, sandałków i pantofli, czepeczków, toczków, kapeluszy i najrozliczniejszych przyborów w tym celu używanych, obecnie przybyły do tego repertuaru płaszcze z całym nowym zestawieniem materjałów kroju, koloru, deseni i t. d. Płaszcz pomimo swego luźnego kroju może być robiony na miarę a zastosowany do kostiumu kąpielowego morskiego i do pokrycia głowy, tworząc jedną harmonijną całość. Materjałem głównie stosowanym na te płaszcze jest t. zw. *Frottier* lub *eponge*. Kolory są wyraźne, intensywne Na gładkim białym *fond*, rzucane barwne bukiety lub koła jasno-zielone, lub jasnoniebieskie, szerokie pasy białe z czarnem lub białe z orzechowem i t. p. Największą jednak sensację wywołują materjały i płaszcze wykonywane w Wiedniu, niezmiernie oryginalne, może zanadto rażące, ale bardzo modne. Kształtem przypominają te płaszcze, owe *manteaux* noszone na spacery t. zw. *de luxe*, długie składane w draperje, — inne przypominają *kimona* na boku krzyżowane, inne znowu, a te przeważnie nosić będą w sezonie w Biarritz, płaszcze bretońskie fałdowane, bardzo szerokie z haftowanym karczkiem i odpowiednim czepeczkiem, wygląda to bardzo ładnie. Moda w *Trouville* nakazuje kształt płaszczy inny i inny materjał wiele skromniejszy, spokojniejszy—biały w niebieskie, różowe lub granatowe pasy — krojem męzkiego szlafroka — nie jest ten krój bardzo powabny ale za to wielce przyzwoity i służy jako przeciwstawienie grzebanych przez modę kolorów i deseni bułgarskich, tak do niedawna epidemicznie stosowanych, a dziś ponoszących wraz z Bułgarją — ostateczną klęskę. *Marcèle.*

Płaszcz kąpielowy z Trouville.

Płaszcz kąpielowy z Biarritz.

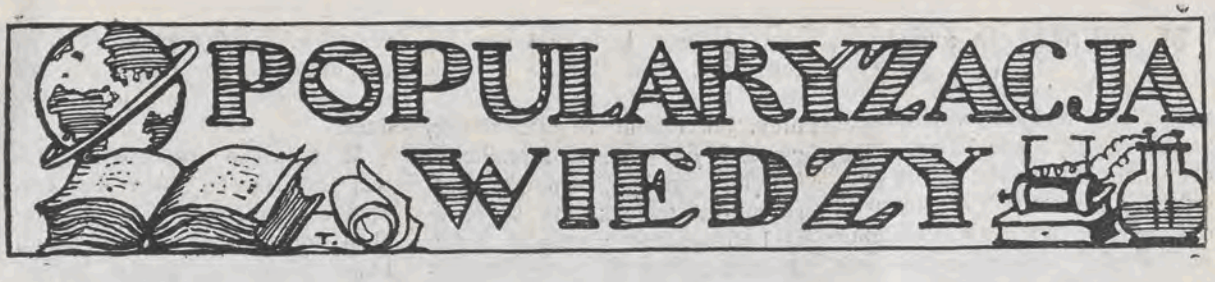

Z postępów wiedzy i pracy.

GEOGRAFICZNE ROZMIESZCZENIE ZWIERZĄT.

2)

Rozpatrując rozmaite środowiska, jak: morze, słodkowodne zbiorniki, lądy, wyspy, podziemne obszary, przekonywujemy się, że ich flora i fauna odznacza się określoną liczbą, im tylko właściwych cech. Cainnaut rozróżnia trzy kategorje tych ogólnych charakterystycznych właściwości: pierwszą stanowi *przystosowanie*, odpowiadające warunkom danego środowiska i wskutek tego będącemi nieodzownemi do życia; np. gatunki żyjące w wodach słonawych, odznaczają się wielką wytrzymałością wobec zmian składu soli, gatunki żyjące blizko wybrzeża zalewanego przez fale, zdradzają wielką zdolność do przytwierdzania się, zwierzęta żyjące na ziemi, posiadają narządy oddechowe, za pomocą których mogą pochłaniać tlen znajdujący się w powietrzu i t. d. Inne cechy charakterystyczne nie są niezbędnie konieczne, ale spotykają się tak często, ze znajdują się w pewnym związku z warunkami danej miejscowości.

Tedy zwierzęta, żyjące w jaskiniach, często bywają ślepe i bezbarwne; lecz ani utrata wzroku ani odbarwienie nie stanowią jeszcze przystosowania, nie przynoszą one żadnego konkretnego pożytku, gdyż jeśliby zwierzę jaskiniowe posiadało wzrok lub odznaczało się intensywnem zabarwieniem, w niczem by mu to nieprzeszkadzało. Zwierzęta wciąż pływające na powierzchni morza, są zadziwiająco przezroczyste. Zarówno jak i bezbarwność zwierząt jaskiniowych, przezroczystość ta stanowi cechę charakterystyczną, uwarunkowaną przez środowisko, w którem żyje dane zwierzę; długie przebywanie w wodzie może spowodować utratę wzroku; według relacji uczonego, *Ogniewa*, niektóre ryby poddawane w przeciągu dwuch lat działaniu światła, stają się zupełnie ślepe.

To samo środowisko, działając na zwierzęta i rośliny jednakowego rzędu, lub na analogiczne narządy u rozmaitych istot, wywołuje zmiany w jednakowym porządku i w rezultacie u różnych istot zjawiają się podobne cechy.

Rośliny rosnące na pustyni opatrzone kolcami, zwierzęta pustyniowe odznaczają się rudawem zabarwieniem, a zwierzęta okolic podbiegunowych — białą barwą sierści. Fakt upodabniania się, jest tak rozpowszechniony, że niekiedy wystarczy spojrzeć na zwierzę, aby módz określić jego sposób życia.

II.

Istoty, zamieszkujące morze, dzielą się na dwie grupy, z których każda żyje w sposób odrębny: jedne żyją na dnie morskiem, w blizkości wybrzeża lub w miejscach głębokich, inne wciąż pływają; pierwsze stanowią bentos, t. j. to, co żyje w morskich głębinach, drugie zaś — *plankton* od greckiego wyrazu *planktos*, t. j. błądzący. Niektóre planktoniczne organizmy pozbawione są zupełnie jakichkolwiekbądź narządów ruchu i poruszają się unoszone przez fale lub prądy morskie; inne zaś, zdolne są do ruchu czynnego. Przenosząc się z jednego miejsca na drugie czynnie lub biernie, niektóre zwierzęta wchodzą w skład planktonu tymczasowo, w ciągu jednego, jakiegokolwiekbądź okresu ich istnienia: są to pływające jajka i ikry rozmaitych ryb, rakowatych, iglastoskórnych robaków; inne bardziej liczne i godne uwagi, żyją wśród planktonu stale. Choć planktoniczne organizmy często odznaczają się mikroskopijnemi rozmiarami, lecz bywają one tak liczne, że przewyższają ilość *bentosu* i *nektonu*. Przeważnie reprezentują je mikroskopijne wodorosty, stanowiące główny pokarm wielu zwierząt. W planktonie spotykamy również meduzy przezroczyste lub opalone, robaki, jak np. *Sagitta*, podobne do kryształowej szpilki i żyjące na wszystkich głębokościach i pod wszystkiemi szerokościami. Są to zwierzęta skrzydłonogie, głowonogie, mnóstwo rakowatych, przedewszystkiem w rodzaju wiosłonogich, obleńce i t. d. Plankton taki gromadzi się niekiedy w olbrzymie ławice; niemiecka ekspedycja, płynąca na okrecie „National“ spotkała ławicę *Velella* długości 260 kilometrów, pokrywającą morze wkrąg, jak daleko wzrok sięgał.

(d. c. n.) *S. D.*

35 dni naokoło świata.

Dziennik nowojorski „Evening Sun“ wysyła współpracownika swego, Johna Mirsa, w podróż naokoło świata, którą podejmuje się odbyć w ciągu 35 dni. Mirs posługiwać się będzie oczywiście, najszybszymi parowozami i pociągami kurjerskimi. Niewielka walizka z bielizną i aparat fotograficzny stanowić będą cały jego bagaż podróżny. Będzie on musiał przebyć przeszło 20 mil wodą i lądem.

Pierwszą istotą ludzką, która dokonała podróży naokoło świata i objechała całą kulę ziemską w 72 dni 6 godzin i 11 minut, była podróżniczka. Nelly Bley, a działo się to w r. 1880 W r. 1903 Henryk Frederik odbył podróż naokoło świata w ciągu 54 dni, 7 godzin i 24 minut. Wreszcie w 1911 roku Andrzej Smith przejechał 20 tysięcy mil w ciągu 35 dni, 19 godzin i 43 minuty.

Wrażenia i rady lotnika Brindejonc'a.

Po powrocie do Francji, Brindejonc, był naturalnie oblegiwany przez dziennikarzy. „Matin“ pierwszy, opiekun tej podróży, ogłasza jego wrażenia i rady. W artykule wstępnym, zatytułowanym; „Impresje podróżnika“ Brindejonc wskazuje, co można uczynić dla lotnictwa.

„Postęp w awjacji w ostatnich czasach jest tak wielki, że na jednym aparacie, z jednym tylko mechanikiem, przy pomocy ludzi, którzy nie widzieli nigdy aeroplanu i uciekali na widok śruby, w ruch puszczonej, zdołałem przebyć zakreślone z góry 5,000 kilometrów. A w dodatku mój mechanik nie był—ideałem. Obejrzał tylko motor w Warszawie, przywiózł mi koło zapasowe do Dynaburga (Dźwińska), oczyścił cylindry w Petersburgu, i na każdy etap podróży przywoził mi niezbędne ubrania. Na tem ograniczyła się jego rola.

Ogromne postępy zrobiła sztuka lotnicza w ostatnim roku!

Nie twierdzę, żeby już zostało wypowiedziane ostatnie słowo. Tacy konstruktorzy aeroplanów, jak Morane i Saulnier, tacy inżynierowie-mechanicy, jak bracia Segur, znajdą zawsze coś do udoskonalenia. Według mnie, najpotrzebniejszym jest zwiększenie szybkości i ulepszenie sposobów wylądowania. Aparat, przy szybkości 150 kilometrów na godzinę, winien opadać w stosunku 25—30 kilom. na godzinę. Ja szybowałem od 62—132 kilom. na godzinę. Nie zawadzałoby też dostarczyć trochę więcej wygody pilotowi. Obecnie wiatr daje mu się zbytnio we znaki. Wreszcie, mimo, że z 60 razy w ciągu mojej karjery lotniczej, zdołałem wprowadzać w ruch motor przy zależności poczciwców, którzy na oczy swe nie widzieli aeroplanu, głosowałbym za automatycznym przyrządem, dzięki któremu lotnik nie byłby na łasce i niełasce profanów.

Konieczna jest dobra mapa z skalą: 1/200.000⁰ i busola. Lecz choćby mapa była wyborna a busola działała znakomicie, niewiele to pomaga. Właściwie lotnik rzadko wie, gdzie się znajduje. Zdarzało mu się szybować we mgle przez godzinę, dwie, a nawet i trzy, nie dostrzegając ziemi...

Pomiędzy Hamburgiem i Hagą, dwa razy tylko wiedziałem gdzie jestem: raz na Zuydersee, drugi raz nad Cambrai.

Bardzo łatwo zbłądzić. Byłoby więc pożądanem, aby przy spuszczaniu się, awjator mógł dojrzeć—na dachach, nad dworcami kolejowemi, jakiś szyld ogromny z nazwą miasta lub stacji.

Zgubiwszy się raz w Pirenejach, widziałem pod sobą śnieżne szczyty. Co począć? Cofnąć się, czy płynąć dalej? W tej rozterce, zaczęłem się spuszczać i dostrzegłem na jakimś murze ogromnemi literami napis: „Browar w Vich“.

Vich? Spojrzałem na mapę i zobaczyłem, że to miasteczko. Zdecydowałem się odrazu wylądować. Be w lotnictwie szybkie decyzje są konieczne. Pomagają do tego sporty, wyrabiające muskuły i hartujące nerwy. Nerwy zaprawiać trzeba do niebezpieczeństwa powoli—stopniowo, dokonując coraz dłuższych wzlotów, po których radzę zawsze długo wypoczywać, aby sił nie marnować, lecz je oszczędzać.

W zakresie awjacji wojskowej jest jeszcze dużo do zrobienia. Jeżeli moi dowódcy zechcą korzystać z doświadczeń, które zdobyłem, gotów jestem chętnie zostać agentem biura wojskowego do dalekich i długich wzlotów“—kończy p. Brindejonc.

Sztuczny kauczuk.

Fabryka w celu wyrabiania sztucznego kauczuku została założona w Ymuiden w Holandji. Towarzystwo, które ją zbudowało, osiągnęło bardzo dobre rezultaty, wytwarzając produkt, który nietylko posiada wszystkie cechy kauczuku prawdziwego, ale nawet przewyższa go. Głównymi składnikami tego materjału są podobno świeże ryby morskie i (około 15%) naturalnego kauczuku.

Otrzymana substancja jest tak elastyczna, jak zwykły kauczuk, kosztuje jednak 6 razy taniej. Pozatem sztuczny kauczuk może być wulkanizowany i odznacza się odpornością na działanie ciepła. Na wygląd sztuczny ten produkt mało różni się od prawdziwego, lecz zapach ryby zdradza jego pochodzenie. I temu mają zapobiedz przez usuwanie tłuszczu z ryb użytych.

Wynalazcy w Rosji.

Pismo rosyjskie „Fizik-Lubitiel“ podaje do wiadomości komunikat Moskiewskiego Lediencowskiego Towarzystwa, o działalności tegoż towarzystwa. Okazuje się, iż w ciągu drugiego półrocza 1911 roku ogółem 97 wynalazców zwróciło się do wspomnianej instytucji z prośbą o subsydja. 17 wynalazców przedstawiło prace z dziedziny lotnictwa. Z dziedziny fotografji, kinematografji i przyrządów fizycznych—13 wynalazców. Najwięcej wynalazców zajmowało się rozwiązaniem kwestji, dotyczących budowy maszyn, mechaniki, drobnych wynalazków i t. p.

Na ogólną liczbę 97 podań, przychylnie przyjęto 32. Między

wynalazcami nie brakło oczywiście zapaleńców święcie wierzących w możność otrzymania ruchu wiecznego, czyli wynalezienia „perpetuum mobile". Byli to przeważnie ludzie materjalnie zabezpieczeni i nie mający żadnego określonego zajęcia, albo też rzemieślnicy, robotnicy i t. p., którym były obce najelementarniejsze zasady mechaniki. W roku 1911 wspomniane Towarzystwo wydało 67,000 rb. tytułem subsydjów.

Morska sygnalizacja systemu Marconi'ego.

Urządzenie takiej sygnalizacji polega na ustawieniu na okrętach osobnego przyrządu, który znajduje się w połączeniu z posterunkami telegrafji bez drutu, rozmieszczonymi na brzegu morza. W czasie burzy, mgły lub ciemnej nocy posterunki te stale wysyłają sygnały ostrzegawcze. Za pomocą przyrządu, znajdującego się na okręcie, można łatwo zorjentować się, skąd pochodzą sygnały i po przeprowadzeniu krótkiego obliczenia oznaczyć miejsce, zajmowane przez okręt. Sam przyrząd nie jest kosztowny. Zastosowanie go jednak wymaga wybudowania na brzegach morskich całego szeregu posterunków specjalnych.

Kolorowanie za pomocą elektryczności.

Pewien chemik wynalazł sposób kolorowania metali za pomocą elektryczności. O ile sposób ten okaże się praktycznym, to może mieć wielkie zastosowanie w przemyśle galanteryjnym. Metoda oparta na działaniu elektrochemicznem, pozwala podobno na otrzymanie, przy użyciu stosownych płynów, wszelkich żądanych odcieni.

Ponad Alpami.

Jeszcze nie przebrzmiały tryumfy Brindejonca, gdy z kolei Szwajcarja zamierzała przygotować światu sensacyjną lotniczą niespodziankę. Niespodzianka w dosłownem znaczeniu tego słowa, gdyż jeszcze do ostatniej chwili nawet tutaj w Szwajcarji, szerszy ogół, nie wiedział nic o brawurowym pomyśle znanego z przybycia po nad Pirenejami, Osara Bidera. Odważny lotnik postanowił przedsięwziąć niebywały lot Bern — Medjolan, przelatując przez Alpy ponad szczytem Jungfrau.

Oto co mówi o swym wzlocie sam Bider:

„Wzniesienie się do wysokości 2,500 metrów przeszło nadzwyczaj łatwo; lecz potem na przebycie 100 metrów musiałem zużyć pół godziny. Po nad Bernem uniosłem się na jakie 1,500 metrów, dalsze kręgi zataczałem coraz wyżej ponad Oberlandem (okolice Juńskiego jeziora).

Potem znajdując się na wysokości 3,500 metrów podążyłem w kierunku Jungfraujoch (stacja kolejowa na Jungfrau, 3,396 metrów). Lecz zrozumiałem, że nie zdobędę dostatecznej wysokości (szczyt Jungfrau, 4,166 m.) Motor o sile 80 koni miał wartość w tej atmosferze 60 koni. Obroty śruby powietrznej były zbyt małe. Próbowałem jednak czy nie zdołam objechać Sigera (3,974 m.). Lecz byłem zbyt nisko. Gdybym mógł jeszcze wznieść na tę wysokość, ryzykowałbym, że mi nie wystarczy benzyny do Medjolanu i że będę musiał lądować gdzieś po drodze. Zawróciłem więc.

Automatyczne celowanie z karabinu.

„Fizik - Lubitiel" zamieszcza ciekawe spostrzenia co do skuteczności strzałów, dawanych przez wojsko w czasie bitwy. Różnice między dobrymi i złymi strzelcami, które dokładnie zaznaczają się w czasie spokojnych ćwiczeń, przestają istnieć w chwili napięcia nerwów, t. j. w razie ataku na nieprzyjaciela. Niemal wszyscy bez wyjątku, jak to stwierdzają powagi wojskowe, strzelają na oślep, nie słysząc komendy i nie celując. W czasie kampanji francusko-pruskiej ze strony pruskiej na 1000 wystrzelonych nabojów, tylko 6 było użytych racjonalnie.

Od dłuższego czasu przeto technicy myśleli nad tem, by dać żołnierzowi w ręce karabin, uniemożliwiający strzelanie bez celu. Pewien major niemiecki wymyślił urządzenie, które polega na tem, że karabin zostaje ustawiony w zależności od odległości i wysokości celu i wtedy tylko może dać strzał. Strzelanie odbywa się w następujący sposób: dowódca oddziału wskazuje cel. Wtedy oficer-specjalista określa na oko odległość, na jaką wypadnie strzelać. Jeden z lepszych strzelców celuje z karabinu automatycznego na wskazaną odległość, przyczem wskazówka znajdująca się na skali przesuwa się pewną podziałkę np. 30. Wtedy dowódca komenderuje „ustawić na 30". Cały oddział za pomocą specjalnego klucza nastawia karabiny na 30. W tym wypadku karabin wystrzeli tylko wtedy, gdy został skierowany na właściwe miejsce. W przeciwnym razie nie można pociągnąć kurka i spowodować wystrzału.

Próby dokonane z tem nowem narzędziem śmierci dowiodły, że wtedy w czasie zbiorowego strzelania niema złych strzelców i wszelki wpływ nerwów przestaje działać na celność strzału.

Wykorzystanie siły wiatru.

W Anglji technicy poważnie zaczynają myśleć o wykorzystaniu siły wiatru do celów przemysłowych. Siła ta coprawda obecnie uważana jest za bardzo kapryśną i względnie mało eksploatowana i to przeważnie w celu pompowania wody. Przypuszczają jednak, że w niedalekiej przyszłości tania siła wiatru znajdzie zastosowanie w dziedzinie przemysłu elektrycznego.

Przyrząd do odnajdywania wody zaskórnej.

Pewien inżynier niemiecki wynalazł przyrząd, pozwalający na odkrycie obecności wody zaskórnej w danem miejscu. Aparat ten jest nadzwyczaj prosty. Składa się z przepony naciągniętej na tubę fonetyczną, w której znajduje się sprężyna, dochodząca do rurki wysłuchowej.

Przy użyciu przyrząd opiera się przeponą na ziemię, a ucho przykłada się do rurki wysłuchowej. Jeżeli w danem miejscu znajduje się woda zaskórna, to wówczas w rurce daje się słyszeć charakterystyczny szmer.

Olbrzymi ster.

Przy budującym się obecnie olbrzymim parowcu „Aquitania“ pracowano nad założeniem steru. Jest on tak wielkich rozmiarów, że trzeba było w dolnej jego części urządzić drzwi, przez które mogli wychodzić robotnicy. Aby obejść kontur steru, ułożonego na ziemi, trzeba było przejść 100 stóp.

Nowe patenty Edisona.

Edison otrzymał od rządu amerykańskiego dwa nowe patenty. Jeden z nich dotyczy ulepszonego przenośnika do przesyłania materjałów budowlanych; drugi zaś igły do gramofonów, zrobionej z pewnego materjału i posiadającej specjalną formę.

Telefony na znacznych wysokościach.

Najwyższą stacją telefoniczną na świecie jest posterunek obserwatorjum meteorologicznego na wierzchołku Mont Rosa w Alpach, na wysokości 15,450 stóp nad poziomem morza. Na tym szczycie śnieg nigdy nie topnieje, a suchość jego wyzyskano w celach izolacji. Przewodniki bowiem leżą tu wprost na śniegu. W celu zapobiegnięcia oberwaniu ich przez lodowce, na początku sezonu letniego umieszcza się przewodniki w kółkach, zawieszonych na słupach. Z rozpoczęciem zimy słupy zostają usunięte.

Nowe szkło odporne na działanie ognia.

Istnieje już rodzaj szkła, zwanego kwarcowem, które opiera się działaniu wysokiej temperatury i które nie pęka, będąc gwałtownie nagrzane lub ostudzone. Jednakże szkło tego rodzaju, po dłuższem i silniejszem nagrzewaniu krystalizuje się i utraca poniekąd swe własności. Świeżo został wynaleziony nowy gatunek szkła, zawierający pewne tlenki rzadkich metali, nie posiadający wyżej wymienionej wady. Wynalazca utrzymuje, że jego szkło odznacza się wytrzymałością mechaniczną od 20 — 50% wyższą od poprzedniego i że nie podlega wcale krystalizacji.

Ścisłe oznaczenie czasu.

Pomyślne rezultaty, jakie otrzymano z dawania z wieży Eifla za pomocą telegrafu iskrowego znaku południowego i północnego aż do odległości 2,880 kilometrów, skłoniły biuro długości *(bureau des longitudes)* w Paryżu do zaproponowania rządowi francuskiemu, aby zwołał do Paryża międzynarodową konferencję w sprawie ścisłego oznaczenia czasu na każdym punkcie kuli ziemskiej, co ma wielorakie, a bardzo ważne znaczenie praktyczne i naukowe. Konferencja ta odbyła się od 15-go do 23-go października r. z., a jakkolwiek uchwały jej nie mają jeszcze mocy wykonawczej, to jednakowoż niema wątpliwości, że ją przyjmą rządy przeważnej liczby państw i przeprowadzą w krótkim czasie, może jeszcze w r. b. Z pewnych stacji (w Niemczech, Norddeich-Wilhelmshaven i Tsingtau, części Chin, zostającej pod panowaniem niemieckiem) będą dawane znaki przynajmniej po dwa razy dziennie, o pewnych godzinach według czasu greenwichskiego, tak, iż na każdym punkcie kuli ziemskiej, nie wyłączając oceanów, można będzie wiedzieć jaknajdokładniej, jaka jest w danej chwili godzina w Greenwichu. Dla porozumienia się obserwatorjów, mających osobne, odpowiednie do tego urządzenia, można będzie redukować błędy sygnałów czasu do połowy a nawet jednej czwartej części sekundy. Co pewien okres będą obserwatorja astronomiczne porównywały czas na swych zegarach z czasem greenwichskim, i błędy wykazane poprawiać będzie dodatkowo osobny urząd wymiaru czasu w Paryżu i centralne biuro międzynarodowego pomiaru ziemi w Poczdamie. W ten sposób te miejsca, które z natury swych czynności potrzebują bardzo ścisłego oznaczenia czasu (np. obserwatorja seismologiczne, czyli obserwatorja trzęsień ziemi) dodatkowo otrzymywać będą potrzebne daty. Przez takie urządzenie można będzie na każdem miejscu kuli ziemskiej wiedzieć jaknajdokładniej, jaki w danej chwili jest czas w Greenwich, a znając również dokładnie czas miejscowy oznaczyć bardzo ściśle długość geograficzną danego punktu, co ma bardzo wielkie znaczenie dla żeglugi i badań naukowych w podróży. Zarazem odpadnie dla wielu obserwatorjów astronomicznych i geodezyjnych, które potrzebują bardzo dokładnych wiadomomości o czasie, potrzeba oznaczenia przez siebie czasu, co wypadnie na korzyść prac naukowych. Spodziewać się też należy, że po zaprowadzeniu tej ogólnej sygnalizacji czasu korzystać z niej będą nietylko instytucje naukowe i pomiarowe, lecz i inne, jak koleje, tudzież miasta, które także potrzebują dokładnego wymiaru czasu.

Masa papierowa do wyrobu karoserji samochodowej.

Wiadomo, na jak obszerną skalę stosowana jest obecnie w przemyśle masa papierowa. W Ameryce rzucono projekt używania jej przy wyrobie samochodów, a właściwie ich karoserji.

Według tego projektu szkielet karoserji mógłby przedstawiać lekkie wiązanie stalowe, między luki którego wciśniętoby masę papierową. W ten sposób otrzymanoby karoserję nader lekką i mocną. Pozatem masa papierowa nadaje się bardzo dobrze do eleganckiej obróbki i doskonale przyjmuje lakier.

Celuloid niezapalny.

Pisma francuskie donoszą, iż pewnemu chemikowi udało się wynaleźć sposób, za pomocą którego celuloid robi się niepalnym. Jak doniosłe znaczenie może mieć podobny wynalazek— łatwo zrozumieć.

LITERATURA NASZA I OBCA
POEZJE, POWIEŚCI, NOWELE I OPOWIADANIA.

TADEUSZ JAROSZYŃSKI.

25)

BOHATER.

POWIEŚĆ.

— Wasza książęca Mość, wszystko się sprzysięgło, wszystko ciągnie na naszą zgubę. Zdrada Austrjaków wytrąca nam z pod nóg ostatnią deskę ratunku.

— Więc cóż ztąd?

— Nie zdołamy obronić Warszawy naszemi wyłącznie siłami.

— Więc?

Jakieś kolczaste słowo uwięzło w gardle pana ministra.

Zawahał się.

— Więc? — nalegał książę.

— Trzeba się będzie poddać... Jak tu siedzimy będziemy musieli podpisać...

— Nigdy w życiu — przerwał książę — Jak tu siedzimy, nie poddamy się... Nie, mości panowie! Jeżeli rząd nie może utrzymać miasta, niech sam z miasta wyjdzie... Nie, mości panowie — powtórzył — nie będziemy kapitulowali.

— A zatem?

— Zatem jutro zaraz opuszczamy Warszawę.

— I dokąd zajdziemy?

— Bo ja wiem?.. przed siebie... Ku Krakowowi... Tymczasem do Piotrkowa, gdzie narazie Rosja nam zagrażać nie może...

Projekt księcia nie wywołał wprawdzie wśród ministrów zachwytu, ale też nie zdołano mu się oprzeć. Już późno w nocy zapadła uchwała, stanowiąca wyjazd władz księstwa do Piotrkowa zaraz na dzień następny.

Jakoż istotnie nazajutrz zaczął się ów oxodus.

Wyjechali naprzód powozami członkowie rządu, za nimi wojsko. Około ośmiu tysięcy ludzi zdolnych do wymarszu, opuszczało stolicę.

Wreszcie dnia 5 lutego na czele sztabu i niewielkiego oddziału ułanów wyszedł sam książę.

Przez ulice miasta jechał smutny i przygnębiony, jakby w przeczuciu, że już tu więcej nigdy nie wróci.

Podobne przeczucia owładnęły sercem panny Marty, która wyszła na ganek dworku na Grzybowie, ażeby bodaj zdaleka pożegnać, przeciągający tamtędy, ku rogatkom Jerozolimskim oddział.

Dawno już przebrzmiały echa kopyt końskich, uderzających o zmarzłą ziemię gościńca, a ona stała nieruchoma, patrząc gdzieś w dal nieznaną — w stronę, w którą jechał on...

Twarz jej powlokła śmiertelna bladość, tylko oczy gorzały jakimś dziwnym blaskiem.

— Jezus Marja, Marciu, czyś ty nie chora? — zawołała Krystyna, która wypłakawszy się uczciwie na pożegnanie wojaków, zwróciła teraz uwagę na przyjaciółkę.

A miała czego płakać nieszczęsna kobieta. Nagła decyzja wymarszu wojsk pokrzyżowała fatalnie jej sprawy sercowe.

Wiedziała dobrze, że porucznik Grabowski, z chwilą kiedy tylko przyjdzie ostatecznie do zdrowia, będzie musiał stanąć w szeregach,

Nie chciała odwodzić go od tego, dla swoich, jak mówiła, planów matrymonialnych: nie chciała, ażeby przez to małżeństwo uchylał się od obowiązków względem ojczyzny.

Znaleziono inne rozwiązanie. Porucznik korzystając z tego, że rany jego na głowie nie zagoiły się jeszcze całkowicie, uzyskał w swojej komendzie urlop tygodniowy. Postanowiono tedy urlopu tego użyć na załatwienie formalności ślubnych.

Panna Krystyna wiedziała, że będzie musiała oddać wojnie męża niemal natychmias po ślubie.

Tak się to żeniono w tych czasach walk nieustannych.

Dzielna dziewczyna przyjęła los swój mężnie.

Odjazd wojsk był dla niej niejako symbolem odjazdu, który ją tak blisko, tak bezpośrednio obchodził...

Otarła jednak oczy i zniecierpliwiona postawą przyjaciółki, podbiegła do niej z właściwą sobie troskliwością.

A panna Marta, bez słowa, osunęła jej się, jak martwa w ramiona.

Zdawało się, że dusza z niej uleciała.

Krystyna wydała krzyk przerażenia.

X.

Rozkoszne dni miodowego miesiąca przedłużały się szczęśliwie. Porucznik i panna Krystyna wzięli ślub już pierwszego marca w kościele pp. Wizytek na Krakowskiem Przedmieściu.

Ślub odbył się bez wszelkich okazałości, ile że smutne wypadki krajowe nie uspasabiały do hucznych wystąpień.

W przeddzień ślubu samego nadto, panna Krystyna otrzymała wiadomość, że brat jej najmłodszy, Janek wzięty do niewoli pod Borysowem, nie przetrzymał uciążliwych trudów wygnania i zmarł w drodze do Tweru.

Odprawiono też dnia tego mszę żałobną za duszę zmarłego, a nazajutrz młoda para stanęła przed ołtarzem, ażeby wziąć błogosławieństwo na drogę życia.

Czy długiego?

Porucznik lada dzień oczekiwał wezwania do pułku. Wiedzieli oboje, aż nadto dobrze, że dni ich szczęścia są policzone. Oddali się też miłości z jakąś szaloną, desperacką bezwzględnością.

Porucznik znalazł kwaterę w małym domku na Nowym Świecie i przeprowadziwszy się tam z żoną, zniknął niemal dla ludzi.

Nie widywano ich na mieście, nie widywano też w dworku na Grzybowie.

Młodzi, tonąc w uściskach, czekali aż przyjdą ich zbudzić ze snów czarownych do rzeczywistości.

Sztafeta?!

Niekiedy w nocy, na odgłos rozgwaru jakiegoś przed bramą domu, Krystyna wyrwała się z pościeli, siadała na łóżku pełna niepokoju i nasłuchiwała, czy nie zbliża się już owa straszliwa, nieunikniona konieczność, która położy kres ich rozkoszy.

Aż przyszła ta sztafeta nieszczęsna. Było to w drugiej połowie czerwca.

Przyszła nie w nocy, lecz w cudny dzień słoneczny.

Mogła być godzina ósma rano. Krystyna, która wstała wcześniej, z niecierpliwością oczekiwała chwili przebudzenia się męża.

Pragnęła mu powiedzieć rzecz niesłychanej wagi.

Tak, nie miała już wątpliwości. Od kilku dni miała w sobie tę myśl rozkoszną a zarazem dziwnie niepokojącą. Kilkakrotnie, cała zarumieniona, nachylała mu się do ucha, ażeby zwierzyć się ze swoich przypuszczeń, ale jakiś wstyd niewytłomaczony, powstrzymywał ją od tego kroku.

(d. c. n.)

MARJAN ORLICZ.

6)

JAK W BAJCE.

POWIEŚĆ.

Dworek schowany w takiej masie bzu, że owad, zda się, najdrobniejszy nie przeciśnie się przez tę liljową gęstwę.

U okien muślinowe firaneczki, pod ścianą komoda — sekretarka, istne: „Sezamie, otwórz się" dla jego dziecięcej ciekawości.

Przy oknie babka.

Kiedyś wstawała do dnia, pełno jej było po całem obejściu, dziś sił nie staje; siedzi w fotelu i tylko miga zawzięcie drutami, z których co chwila gubi „oczko". Na zająkliwym szpinecie dziaduś wygrywa swoje przedpotopowe walce...

I naraz on, w swawoli siedemnastoletniego chłopca porywa z fotelu babkę i zaczyna z nią walcować po saloniku.

— Ach, ty łobuzie serdeczny — słyszy zdyszany szept babuni, kiedy ten suchy, drobny wióreczek posadził napowrót.

Słyszy, wyraźnie słyszy.

Słyszy dziadka, zanoszącego się od śmiechu.

Jakiś wewnętrzny, bolesny szloch podchodzi mu do gardła.

Niema już tych drogich staruszków i niema nikogo, coby gałązkę bzu ulubionego na mogiłę im położył.

Co dnia, z sąsiedniej cukrowni, przybiegała czternastoletnia wówczas córka dyrektora, żeby z nim razem poszukać „szczęścia".

Ktoby wtedy pomyślał, że z tej chudej „kozy" o cienkich nogach i nadmiernie długich rękach wyrośnie taka bogini.

Wyciągali pojedyńcze kwiatki z bzowych kiści i szukali zapamiętale.

Jeśli znalazło które pięciopłatkową gwiazdkę, wierzyli święcie, że to szczęście...

Gdzie dziś ta wiara? Gdzie szczęście? gdzie Hela?

Wzruszenie ciepłą falą zalało mu duszę.

I nagle, odgięła się jakaś sprężyna przeczulonego mózgu i wydzwoniła nazwę jego udręki:

Nostalgja!

Jechać! wracać! czemprędzej!

Duszą mu zatargała sprzeczna rozterka uczuć.

W tej jednej chwili przeżywał wszystko przez lata całe przeżyte w Paryżu, a jednocześnie zrozumiał, że nieprzeparta tęsknota ciągnie go do tych dawnych kątów, do tych drogich grobów, że mu koniecznie potrzeba przypaść do tej kochanej biednej krwią przesiąkłej ziemi „mogił i krzyżów", ucałować jej szarą grudę.

A przytem taki żal z porzucenia ukochanego miasta kładł mu się na piersi, taki żal...

Ale to przemoże, tamtego nie potrafi.

Nie potrafi, nie może, nie ma wprost siły móc.

Teraz rozumie, dlaczego w ostatku pędzel taki mu był nieposłuszny.

Dziś, zaraz, zacznę oddawać pożegnalne wizyty — postanowił nieodwołalnie.

IV.

Za mostem Henri IV Żarski zeszedł z „imperial'u" i dążył pieszo z pożegnaniem do Milszów.

Przechodząc koło Morgi pomyślał: E, zajdę, chcę wchłonąć wszystkie wrażenia i smutne i wesołe, pożegnać wszystkie kąty ukochanego Paryża.— Sekwana, taka miejscami wesoła, taka żwawa, figlarna pod Auteuil, tu jakby w poczuciu ponurego sąsiedztwa, tragiczna, złowroga, uparcie rozbija o brzeg drobne, mętne fale, jakgdyby głową o swoje kamienne tłukła łoże.

Szary, nikły budynek w jej pobliżu, to ostatnie schronisko tych, którym głód—mocarz, zbrodnia, szał, rozpacz lub nieszczęście, ułożyły tu postanie.

Krwawy śmiech zbiera, gdy się spojrzy na nadpis frontonu: „Liberté, Egalité, Fraternité" A wszak należałoby go przekreślić jednym zamachem, a na jego miejscu dać czarną dewizę dantejskiego piekła: „lasciate ogni speranza voi ch'entrate".

A może ta dewiza, tu właśnie bardziej niż gdziekolwiek jest na miejscu, bo gdzie indziej biednemu synowi ziemi znaleźć tak absolutną: Wolność, Równość, Braterstwo?

Dwoje tylko znajduje się w tej ostatniej przystani.

Głowy, podtrzymywane łukiem żelaznym w rodzaju tych, jakie się znajdują u fotografów nadają im pozór siedzących postaci. Jedno, to średnich lat mężczyzna o spokojnej niby w śnie bez marzeń pogrążonej twarzy; drugie — zgrzybiała staruszka, straszna.

Siwą głowę w strojnym czepeczku zadarła jakby ku niebu, a z bezzębnych ust zionie zda się rozpacznem przekleństwem.

Snać zamarła w ostatnim krzyku złorzeczenia.

Zabobonnym lękiem gnany, wybiegł z tego przybytku grozy.

Wpadł do Milszów zdyszany.

— Wszelki duch! Cóż się z panem dzieje? Myśleliśmy, że pan gdzieś wyjechał.

— Nie wyjeżdżałem dotąd nigdzie, ale wyjeżdżam i właśnie przyszedłem państwa pożegnać.

— I dokąd to bogowie prowadzą?

— Do kraju.

— Żartuje pan. Tak się pan zarzekał, że się tam nie pokaże, aż ze sławą i majątkiem.

— Ano, zarzekałem się. Ale „force majeure". Takie już od dłuższego czasu dzieją się ze mną rzeczy, że doprawdy, chyba oszaleć.

— Rzeczywiście, strasznie blado pan wygląda.

— A bo strzeliło mi do głowy pożegnać i Morgę. Jeszcze się cały trzęsę, takie wrażenie wywarła na mnie staruszka z głową zadartą ku górze niby w krzyku Szymańskiego „piesiu, nawymyślaj Panu Bogu". Straszne, straszne jakie to musiały być ostatnie chwile.

— No i potrzeba było tam łazić? Jeśli pan taki wrażliwy, to poco?

— Bo ja wiem? Prawdziwie pociągnęła mnie jakaś moc kapryśna, która mię w tych czasach nosi po świecie bez siły i woli.

— A bo mię gna, pędzi. Robota mi z rąk leci. A jeśli mam jakąś myśl w głowie, to jechać, jechać!

— I nie zamierza pan wracać?

Milsz, gorący wielbiciel Paryża przerwał żonie.

— Co też ty mówisz? Bądź pewna moja droga, że im prędzej pojedzie, tem jeszcze prędzej wróci.

— Chi lo sa? W każdym razie pracownię zostawiam, jak jest.

Milszowa opuściła głowę.

— Swoją drogą, zazdroszczę panu tego wyjazdu do kraju.

— A przecież państwo niedawno wrócili.

— Tembardziej mi tęskno za naszą miłą Warszawą. Pragnęłabym dużo podróżować, dużą część roku przesiedzieć w Paryżu, ale życie tu spędzić, nigdy. Wie pan po uszy np. już mam tych proszonych obiadów, do których gospodyni siada spieczona jak rak, gdzie talerze zmienia pan domu i t. d.

U nas, kto nie może, ten nie zaprasza na obiady. Francuzki lubią „popotować", ale ja dziękuję za tę rozkosz.

A potem życie towarzyskie, które ja tak bardzo lubię.

Zamykasz, bywa, pracownię, poszłabyś na pogawędkę, cóż, kiedy ty mieszkasz na jednym końcu Paryża, a twoi znajomi na drugim, trzebaby się wybrać na pół dnia, a to za nudne. I te stosunki wogóle: myśmy przyzwyczajone do ciepła serdecznego, otoczenia przyjaciół, a francuz choć elegancki, miły, gładki, ale samolubny, niedowierzający, przysługę oddaną ogląda na wszystkie strony, żeby dojść, co ją sprawiło.

Oburza mnie nieraz to rozkochanie mojego męża w Paryżu. Ja oddaję, co mu się słusznie należy, ale takiej bezwzględnej apoteozy nie znoszę

— Mięszasz pojęcia, moja droga, ja kocham Paryż, ale nie powiedziałem, że kocham Paryżan już prędzej Paryżanki. roześmiał się Milsz. Ale panu, panie Żarski, co się stało?

(d. c. n.).

H. DE BALZAC.

2)

Dzieje Trzynastu.

(Z francuskiego).

Jego poddasza stanowią tysiąc głów, pełnych nauki i genjuszu; pierwsze piętra są jak gdyby spokojnie trawiącymi żołądkami; sklepy— bezustannie poruszającemi się kończynami. Jakże gorączkowo żyje ten potwór! Zaledwie umilknie w sercu jego turkot karet balowych, gdy oto rogatki, jak wielkie ramiona, poczynają ruszać się i olbrzym, rzekłbyś otrząsa się powoli ze snu. Otwierane drzwi, zda się, ziewają, skrzypiąc na swych zawiasach, niby macki olbrzymiego homara i drgają poruszane niewidzialnie przez trzydzieści tysięcy ludzi, z których każdy żyje na przestrzeni sześciu stóp kwadratowych, posiada kuchnię, pracownię, łóżko, dzieci, ogród. Powoli, nieznacznie artykulacje zaczynają trzeszczeć, ruch wzmaga się, ulica mówi. W południe wszystko to kipi, kominy dymią, potwór zajada; później ryczy, później jego tysiączne łapy podrygują. Co za piękny widok! Lecz któż, o boski Paryżu, nie zachwycał się twymi ciemnymi zaułkami, głuchymi kątami, głębokiemi i milczącemi wpadlinami; kto nie słuchał twych pomruków między północą a godziną drugą nad ranem, ten nie zna istotnej poezji twej, ani twych dziwacznych i potężnych kontrastów. Istnieje szczupła tylko garstka twych miłośników, którzy nigdy nie krążą bezmyślnie po twych

arterjach, którzy lubują się tym Paryżem, którzy tak dobrze znają jego oblicze, że poznają na nim każdą krostkę, każdą narośl, każde zaczerwienienie. Dla ogółu Paryż jest olbrzymim cudem, zdumiewającym całokształtem ruchów, maszyn i myśli, miastem stu tysięcy romansów, głową świata. Lecz dla wybranych Paryż jest prócz tego, wesoły lub smutny, żywy lub umarły, brzydki lub piękny; dla nich Paryż jest żywem stworzeniem, a każdy człowiek, każda cząstka domu jest komórką wielkiej tkanki w organizmie tej wielkiej kurtyzany, którą znają oni tak dobrze w każdym szczególe; znają tak dobrze jej głowę, serce, jej fantastyczne obyczaje. Ci wybrani są kochankami Paryża: w jakiemś miejscu podnoszą głowę, pewni, że znajdą tu zegar; przyjacielowi, którego tabakierka jest próżna, powiadają bez wahania: „Idź przez tę uliczkę, nalewo, obok pasztetnika, który ma ładną żonę, znajduje się dystrybucja". Dla takich poetów podróż po Paryżu jest nielada zbytkiem. Bo i jakże nie stracić kilku minut wobec dramatu, nieszczęścia, jakichś wypadków, które przytrafiają się co chwila na ulicach tej królowej miast, przybranej w plakaty i afisze, a nie posiadającej ani jednego czystego kącika, gdyż jest zbyt uległa względem przywar narodu francuskiego!

Komuż nie zdarzyło się wyjść rano z mieszkania, ażeby udać się na kraniec Paryża a w godzinie obiadowej być jeszcze w centrum miasta? Niech więc pobłażliwy czytelnik wybaczy mi, żem odbiegł od przedmiotu, a wzamian pozyska cenną i nową myśl o Paryżu, o ile wogóle może istnieć coś nowego w Paryżu, gdzie niema nic nowego, a wzniesiony wczoraj posąg już dzisiaj nosi wypisany przez jakiegoś ulicznika nieprzyzwoity napis. A więc streszczamy się, stwierdzając raz jeszcze, że istnieją w Paryżu ulice, wyloty ulic, pewne domy, nieznane osobom z lepszego towarzystwa, i w których kobieta, należąca do takiego towarzystwa, nie może pokazać się, gdyż natychmiast będzie podejrzewana o rzeczy wysoce hańbiące. Czy jest to kobieta bogata, czy przyjeżdża powozem, czy przychodzi pieszo — wystarczy, by pojawiła się w podobnem miejscu, a naraża tem na szwank swą reputację. Jeśli nadomiar znajduje się tam koło dziewiątej wieczorem — przypuszczenia stają się niemal pewnikiem i narażają ją na najsmutniejsze następstwa. Jeśli, wreszcie, kobieta jest młoda i przystojna, jeśli dom, do którego wchodzi, posiada długi i ciemny korytarz, pełen wyziewów wilgoci, jeśli w głębi korytarza mdłem światłem płonie lampka, a w tem świetle widnieje postać kościstej staruszki — wówczas — mówimy to dla przestrogi młodych i przystojnych kobiet — jest ona zgubiona. Jest zdana na łaskę pierwszego znajomego mężczyzny, który spotka ją w tem bagnie paryskiem. Istnieją nawet ulice, na których spotkanie podobne grozi najstraszliwszym dramatem, miłosnym i krwawym dramatem w stylu szkoły współczesnej. Niestety, niewiele osób zrozumie istotę takiego dramatu i doprawdy, smutny jest los pisarza, zmuszonego opisywać takie przygody czytelnikom, których większość nie oceni ich charakteru lokalnego. Ale jakiż pisarz może pochwalić się, że został kiedykolwiek zrozumiany? Umieramy wszyscy niepojęci przez współczesnych. Nie napróżno uskarżają się na to autorzy i kobiety.

O wpół do dziewiątej wieczorem, przy ulicy Pagevin, w czasie, gdy na ulicy Pagevin nie było ani jednej ściany, której nie zdobyły plugawe napisy, w kierunku ulicy Soly, najwęższej i najtrudniejszej do przebycia ulicy Paryża, w początku lutego, blizko trzynaście lat temu, jakiś młody człowiek dziwnym zbiegiem okoliczności znalazł się pieszo na rogu ulicy Pagevin, z której skręcił w ulicę Augustynów, na prawo, tam, skąd wychodzi właśnie ulica Soly. W tem miejscu młody człowiek, który sam mieszkał przy ulicy Bourbon, odnalazł w kroczącej o kilka kroków przed nim kobiecie pewne podobieństwo do najpiękniejszej paryżanki, osoby uroczej i cnotliwej, w której był potajemnie zakochany, beznadziejnie, gdyż była zamężna. Serce zadrżało w jego piersi, nieznośne gorąco rozlało się po żyłach, a jednocześnie poczuł chłód, przebiegający mu po plecach, w głowie mu szumiało. Kochał, był młody, znał Paryż, a przenikliwość nie pozwalała mu nie wiedzieć, jaką niesławą pokrywała reputację wytwornej, bogatej, młodej i pięknej kobiety tajemnicza przechadzka po tej dzielnicy.

O n a wśród tego błota, o tej godzinie! Miłość tego młodego człowieka może wydać się nieco romantyczną, tembardziej, że był on oficerem gwardji królewskiej. Gdyby choć należał do piechoty, byłoby to naturalniejsze, lecz jako wyższy oficer kawalerji, należał on do tego rodzaju broni, który wymaga szybkości w podbojach miłości, nie uznaje platonicznych westchnień i szczyci się swymi rozwiązłymi obyczajami w tym samym stopniu, co błyszczącym uniformem. A jednak uczucie młodego oficera było szczere i przez młode serca powinno być uznane za wzniosłe. Kochał kobietę ową za to, że była cnotliwa, kochał jej cnotę, jej poważny wdzięk, jej imponującą świętość, jako najwyższe walory swego niewyznawanego uczucia.

Bo też kobieta ta godna była platonicznej miłości, którą, jak kwiat wśród krwawych ruin, spotyka się w wiekach średnich; była godna stać się nieświadomie podstawą i treścią życia młodego cyłowieka, przedmiotem miłości wzniosłej i czystej, jak niebo, gdy nie zakłóca go żadna chmurka, miłości beznadziejnej, lecz do której człowiek przywiązuje się, gdyż taka tylko miłość nigdy nie zdradza; miłości obfitującej w szalone radości, szczególniej w wieku, gdy serce płonie, wyobraźnia łatwo podnieca się, a oczy ludzkie widzą wszystko w kolorach różowych. W Paryżu efekty cieniów nocnych bywają dziwaczne, niezrozumiałe. Tylko ci, którzy dla rozrywki obserwowali je, wiedzą, jak fantastyczną staje się wśród mgieł i cieniów postać kobieca. Osoba, za którą idziecie, wydaje się chwilami smukłą, pończocha, jeśli jest bardzo biała, nadaje nogom pozór piękna i subtelności; figura, acz zawinięta w szal lub futro, w ciemnościach wydaje się zręczną i młodą;

wreszcie niepewne blaski wystaw sklepowych lub latarni ulicznych, oświetlają nieznajomą na mgnienie przelotnem światłem, zawsze prawie zawodnem, lecz które budzi i rozgrzewa wyobraźnię, unosząc ją poza granice prawdy i rzeczywistości. Wówczas zmysły podniecają się, wszystko zabarwia się i ożywia; kobieta nabiera nowego zgoła wyrazu, ciało jej — nieznanego piękna; chwilami wydaje się, że to nie kobieta, lecz demon, błędny ognik, ciągnący za sobą swym magnetycznym blaskiem.

Właśnie w tej chwili drgające światło, wydostające się przez szybę sklepiku szewca oświetliło dolną połowę ciała kobiety, kroczącej przed młodym człowiekiem. I ostatnie wątpliwości jego pierzchły. Tak, to ona! Ona jedna posiadała tę przepyszną budowę i te subtelne linje! Ona jedna posiadała ten miękki, posuwisty, a przecie elastyczny krok, ten chód, przy którym uwydatniają się kuszące formy ciała. To był jej poranny szal, jej poranny kapelusz aksamitny. Na jej szarych jedwabnych pończochach nie było ani jednej plamki, na bucikach — śladów błota. Szal, ściśle przylegający do ciała, zarysowywał kontur jej postaci, otaczał ramiora, których biel młodzieniec niejednokrotnie podziwiał na balu, więc wiedział, jakie skarby szal ten przykrywał. Ze sposobu, w jaki Paryżanka zawija się w szal lub stawia nogę, sprytny Paryżanin odgaduje tajemniczy powód, który kieruje jej krokami. Jest w niej coś drżącego, jest coś lekkiego, powiewnego w całej jej osobie i kroku; rzekłbyś, iż mniej waży, że nie chodzi, lecz płynie, jak gwiazda, że fruwa, niesiona myślą, którą zdradza każda fałda jej sukni. Młody człowiek przyspieszył kroku, wyprzedził kobietę, poczem odwrócił się, aby przyjrzeć się jej raz jeszcze... Lecz kobieta znikła w głębi bramy, której drzwi, zaopatrzone w dzwonek drżały jeszcze i dźwięczały. Młodzieniec zawrócił i ujrzał kobietę, która przyjęła od starej stróżki uniżony ukłon i wstępowała na kręte schody, których pierwsze stopnie były jasno oświetlono, kobieta wspinała się po schodach lekko, szybko, jak wspina się osoba niecierpliwa, spiesząca się.

— Spiesząca się do czego? — spytał samego siebie młody człowiek i cofnąwszy się o kilka kroków, przylgnął do ściany przeciwległego domu.

I obejrzał biedaczysko wszystkie piętra domu z ciekawością ajenta policyjnego, śledzącego spiskowca.

Był to jeden z tych domów, jakich spotykamy bez liku: dom ohydny, gminny, wązki, żółtawy w tonie, czteropiętrowy i o trzech oknach od frontu. Sklep i parter zajmował szewc. Na pierwszem piętrze okiennice były zamknięte. Dokąd zmierzała kobieta? Młodzieńcowi wydało się, że słyszy odgłos dzwonka na drugiem piętrze. Jakoż istotnie w pokoju, którego dwa okna były jaskrawo oświetlone, światło przesunęło się i rzuciło blask na trzecie okno, dotąd ciemne, należące niewątpliwie do pierwszego pokoju: salonu lub jadalni. W chwilę potem na oknie tem zarysował się cień kapelusza niewieściego, drzwi zamknęły się, w pierwszym pokoju zrobiło się znów ciemno, w drugim zaś okna zabarwiły się znów na czerwono. W tej chwili młodzieniec usłyszał okrzyk: „Uwaga!“ i otrzymał pchnięcie w ramię.

— Jaki pan nieuważny, — rzekł gruby głos.

Był to głos robotnika, niosącego długą deskę. Robotnik ten był jakgdyby zesłany przez Opatrzność, przestrzegającą ciekawego młodzieńca: „Do czego się wtrącasz? Myśl o twych obowiązkach i pozostaw w spokoju Paryżanki z ich tajemnicami“.

Młody człowiek skrzyżował ręce na piersiach, poczem, korzystając z tego, że nikt go nie widzi, dał folgę łzom wściekłości, które popłynęły strumieniem po jego twarzy. Widok dwuch cieniów, drgających na szybach oświetlonych okien szarpał jego serce, więc odwrócił wzrok i spojrzał bezwiednie wzdłuż ulicy Augustynów, gdzie ujrzał dorożkę, stojącą przy ścianie, w miejscu, gdzie nie było ani drzwi, ani sklepu.

Ona czy nie ona? Kwestja życia lub śmierci dla kochanka! I kochanek czekał. Stał nieruchomy przez wieczność, trwającą dwadzieścia minut. Potem kobieta zeszła ze schodów i poznał niezaprzeczenie tę, którą kochał tajemnie. A jednak pragnął wątpić jeszcze. Nieznajoma podeszła do dorożki i wsiadła do niej.

— Dom nie ucieknie ztąd; będę mógł zrewidować go, kiedy zechcę, — pomyślał młody człowiek i podążył za dorożką, aby wyzbyć się ostatnich wątpliwości. Jakoż wyzbył się ich najzupełniej.

Dorożka zatrzymała się przy ulicy Richelieugo, przed sklepem z kwiatami, obok ulicy Ménars. Dama wysiadła, weszła do sklepu, wysłała dorożkarzowi należne mu pieniądze i wyszła, wybrawszy potrzebne jej kwiaty.

Później dama zawróciła w ulicę Ménars i wróciła do swego domu. Gdy drzwi pałacu, w którym mieszkała, zamknęły się za nią, młody kochanek, straciwszy ostatnią nadzieję, straciwszy wiarę w ukochaną kobietę, począł błąkać się po Paryżu jak pijany. Wkrótce, nie wiedząc jak i kiedy, znalazł się w domu. Rzucił się w fotel, oparł nogi na podnóżku, ukrył twarz w dłoniach i suszył przed ogniem buty. Była to okropna chwila, jedna z tych chwil w życiu człowieka, które zmieniają jego charakter, uzależniają kierunek całego życia od pierwszego odruchu.

Młody człowiek należał do dobrej rodziny, której szlachectwo nie było coprawda zbyt dawne, lecz w czasach dzisiejszych istnieje tak mało starych rodzin szlacheckich, że już przez to samo każdy młodzieniec z towarzystwa zaliczany bywa do starej szlachty. Przodek jego nabył urząd radcy w parlamencie paryskim *), i został z czasem jego prezydentem. Synowie jego, odziedziczywszy po nim znaczny majątek, poświę-

*) W dawnych czasach parlament był we Francji instytucją sądową, nie zaś prawodawczą, jak obecnie (Przyp. tłum.)

cili się służbie wojskowej i dzięki swym stosunkom, przeniknęli wkrótce na dwór królewski. Rewolucja zmiotła całą niemal rodzinę; przy życiu pozostała jedyna jego przedstawicielka: pewna uparta staruszka, która nie chciała pod żadnym pozorem emigrować, wskutek czego dostała się do więzienia, gdzie groziła jej śmierć. Lecz ocalił ją 9 thermidora *), z czasem odzyskała nawet dobra familijne. We właściwym czasie, a mianowicie 1804 roku, sprowadziła ona z zagranicy swego wnuka, Augusta de Maulincour, jedynego potomka rodziny Maulincour'ów. Wychowała go ona z potrójną troskliwością: matki, poczciwej kobiety i dbałej o zachowanie rodu arystokratki. Później, gdy nastąpiła Restauracja, ośmnastoletni podówczas August wstąpił do gwardji królewskiej, jako oficer, stąd przeniósł się do piechoty, potem znów przeniesiony został do gwardji królewskiej, gdzie w dwudziestym czwartym roku życia zajmował stanowisko rotmistrza kawalerji, stanowisko świetne, jak na jego młody wiek; zawdzięczał je zabiegom swej babki, która pomimo podeszłego wieku umiała pozyskać życzliwość możnych.

Ta podwójna biografja jest poza nieznacznymi warjantami, streszczeniem ogólnej i poszczególnej historji wszystkich rodzin szlacheckich, które wyemigrowały podczas Rewolucji, posiadały dobra i długi, stare przedstawicielki i stosunki. Baronowa de Maulincour miała oddanego sobie przyjaciela w osobie wicehrabiego de Pamiers, byłego komandora zakonu Maltańskiego. Była to jedna z tych wiecznych przyjaźni, opartych na sześćdziesięcioletnich węzłach, których nic nie może zabić, gdyż na dnie ich spoczywają tajemnice serca, ciekawe do odgadnięcia dla ludzi, posiadających wolny czas, lecz niemożliwe do opowiedzenia w dwudziestu wierszach. Dziejami takich uczuć możnaby zapełnić cztery tomy romansu, zajmującego, jak dawne opowieści rycerskie, jak najsławniejsze dzieła, o których tak wiele i tak stanowczo rozprawiają młodzieńcy, choć nigdy ich nie czytali. Tak więc, August de Maulincour dzięki babce i staremu wicehrabiemu obracał się w arystokratycznych salonach przedmieścia St. Germain, a choć szlachectwo jego datowało się od dwustu lat zaledwie, nadawał sobie pozór syna rodu, pochodzącego z czasów Merowingów. (d. c. n.)

*) Upadek Robespiera, a wraz z nim — terroru. (Przyp. tłum.)

MIGUEL DE CERVANTES SAAVEDRA.

5)

Rinconete i Cortadillo.

Z hiszpańskiego przełożył Zdzisław Milner.

— Doskonale! — zawołał Monipodio, — nie potrzeba mi więcej! Słowa twoje tak przekonywająco świadczą o waszych zdolnościach, że widzę się zobowiązany, zniewolony, wszystko uczynić co będzie w mojej mocy, abyście byli przyjęci niezwłocznie na rzeczywistych członków naszego bractwa, nie przechodząc przez rok nowicjatu.

— I ja tak myślę, — rzekł jeden z obecnych junaków.

I zatwórowali mu jednogłośnie wszyscy, którzy słyszeli tę rozmowę, prosząc Monipodia aby pozwolił chłopcom korzystać ze wszelkich praw i przywilejów, jakie bractwo zapewnić mogło swym członkom, gdyż ze względu zarówno na ich osobę, jak i na ich przemówienia godni byli tego zaszczytu. Monipodio odparł, że pragnąc zadość uczynić głosowi ogółu, nadaje chłopcom wszystkie wzmiankowane przywileje. Zwracając się następnie do Rincona i Cortada, powiedział im, jak wielkiego dostępują zaszczytu, na mocy bowiem owych przywilejów nie będą zmuszeni płacić myta od pierwszej kradzieży; nie będą używani przez rok cały jak inni nowicjusze, do podrzędniejszych czynności, a więc chodzić nie będę z poleceniami od starszej braci do więzienia, pić będą wino niechrzczone, będą mogli uczty wyprawiać w dowolnem miejscu, kiedy im się żywo spodoba, nie prosząc o pozwolenie swego zwierzchnika; jako członkowie, czerpać będą mogli od tej chwili narówni ze starszą bracią z ogólnego śpichlerza, nie licząc innych zysków i korzyści, jakie im nowe stanowisko miało zapewnić. Chłopcy przyjęli wszystko jako łaskę niesłychaną i w gorących a serdecznych słowach podziękowali za zaszczyt, jakiego dane im było dostąpić.

W trakcie tego przybiegł pędem i bez tchu prawie chłopiec jakiś, wołając:

— Alguacyl *) od włóczęgów kieruje się ku naszemu domowi, lecz niema przy nim żadnej straży.

— Nie trwóżcie się, — rzucił Monipodio, — gdyż alguacyl jest naszym sprzymierzeńcem i pewno nie przychodzi tu ku naszej szkodzie. Niechaj się więc wszyscy uspokoją, a ja wyjdę z nim pomówić.

Obecni, zatrwożeni zrazu słowami chłopca, uspokoili się, a Monipodio wyszedł na ganek, gdzie oczekiwał go już alguacyl. Pomówiwszy z nim chwil kilka, powrócił do izby i zapytał:

— Komu z was wypadło dzisiaj znajdować się na placu Św. Salwatora?

— Ja tam byłem, — odparł przewodnik naszych młokosów.

*) Oficer straży ziemskiej.

— Czemuż to więc, — rzekł Monipodio, — nic jeszcze nie wiem o kiesce bursztynowej, z którą tak łatwo dziś rano na tem właśnie miejscu ktoś dał sobie radę? zawierała piętnaście dukatów w złocie, dwa podwójne reale i nie wiem ile ćwiertaków.

— Prawda to, — odparł chłopiec, — że znikła dziś kieska jakaś zawierająca tę właśnie kwotę, ale nie moja w tem była ręka i nie pojmuję nawet kto mógł ją sobie przywłaszczyć.

— Ze mną niema wymówek! — zawołał Monipodio, — kieska musi się znaleść, bo prosi o nią alguacyl, który jest nam przyjacielem i rokrocznie setki usług nam oddaje.

Chłopiec począł zaklinać się na wszystkie świętości, że nic nie wie o kradzieży. Monipodio nie dawał za wygraną i zapałał takim gniewem, że zdało się, iż skry rzucały jego oczy.

— To nie kpiny! — wołał, — niechaj nikt się nie kusi wykraczać przeciw najdrobniejszej z ustaw naszego bractwa, bo życiem może przypłacić taką swawolę! Kieska musi się znaleść, a jeśli ją kto ukrywa, aby nie zapłacić należnego myta, z własnych zasobów pokryję szkodę, bo cokolwiek się stanie, alguacyl musi stąd odejść zadowolony.

Chłopiec począł znowu przysięgać i zaklinać się, mówiąc, że nie on popełnił tę kradzież i że nigdy owej kieski nie widział na oczy. Wszystko sprawiło, że Monipodio gwałtowniejszym jeszcze zapałał gniewem a całe zgromadzenie zaniepokoiło się, widząc, że ich statuty i dobre porządki grożą ruiną.

Rinconete przeto, widząc tak wielką trwogę i zamięszanie, wpadł na myśl, że lepiejby było położyć koniec owym niepokojom i dogodzić hersztowi bandy, który teraz pienił się już ze złości. Naradziwszy się więc ze swym przyjacielem, za jego zgodą wyjął z zanadrza sakiewkę zakrystjana i rzekł:

— Niechaj ustaną wszelkie spory, panowie, bo oto jest kieska o której mowa, a nic w niej nie brak z kwoty, której alguacyl się domaga. Złowił ją dziś rano mój towarzysz, Cortadillo, wraz z chustką, która do tego samego należała właściciela.

Cortadillo tymczasem, wyjąwszy z kieszeni chusteczkę, pokazał ją obecnym.

Monipodio, widząc co się święci, z temi słowy zwrócił się do chłopców.

— Cortadillo dobrotliwy (ten bowiem przydomek ma mu na przyszłość pozostać) niechaj zatrzyma dla siebie chustkę i niech zapisze na mój rachunek wdzięczność za oddaną nam przysługę, alguacyl zaś weźmie kieskę, gdyż należy ona do pewnego zakrystjana, który jest z nim spokrewniony, a słuszne to, aby i wobec niego sprawdziło się przysłowie, które mówi: „Jak ty komu, tak on tobie“. W istocie, zacny ten alguacyl swem milczeniem tyle nam się w jeden dzień przysłuży, że i w pół roku nie zdołamy okazać mu należycie naszej wdzięczności, co zresztą nie leży w naszych zwyczajach.

Przyklasnęli wszyscy wspaniałomyślności naszych dwuch nowicjuszów i decyzji swego zwierzchnika, który wyszedł, by oddać kieskę alguacylowi. Cortadillo zatrzymał przydomek dobrotliwego, podobnie jak niegdyś Don Alonzo Perez de Guzman el Bueno, który z murów Tarify rzucił miecz w obóz najeźdźców, godząc na życie swego jedynego syna.

Gdy Monipodio powrócił, weszły wraz z nim do izby dwie dziewczyny o twarzach mocno uróżowanych i wargach umazanych karminem i pomadą, wymuskanych piersiach, ustrojone w jedwabne szale, ruchliwe i pełne bezwstydu. Wszystko to były niechybne oznaki, po których Rinconete i Cortadillo łacno poznali, że nowoprzybyłe wychodziły z domu publicznego i w rzeczy samej nie mylili się wcale.

Od samego progu rzuciły się w objęcia Chiquiznaqua i Manifera, te bowiem były imiona dwuch na samym końcu przybyłych pyszałków, a przydomek Maniferra stąd pochodził, że miał żelazną rękę w miejsce własnej, którą ucięto mu na mocy wyroku sądowego. Wytwornisie uściskali je radośnie, pytając, czy przynoszą ze sobą jakąś drobnostkę do zwilżenia przewodu pokarmowego.

— A jakżeby nie, gołąbku mój? — odparła jedna z dziewczyn, którą nazywano *la Ganansiona*, — przyjdzie tu wkrótce twój wierny pachołek, Silbatillo i przyniesie koszyk z butelkami a w nich to, co Bóg raczył nam dać na dzisiaj.

Prawdą było, co rzekła, gdyż w tej samej chwili wszedł chłopiec, niosąc koszyk z butelkami pokryty prześcieradłem. Uradowali się wszyscy na widok Silbata, a Monipodio kazał niezwłocznie rozłożyć na środku izby jedną z mat szpagatowych, które znajdowały się w domu, kazał następnie wszystkim usadowić się w koło, aby zapomniawszy swarów o ważniejszych pogawędzić sprawach. (d. n. c.)

WARUNKI PRENUMERATY „ZŁOTEGO ROGU“:

W Warszawie	rocznie rb. 6.—	półr. rb. 3.—	kwart. rb. 1.50
W Królestwie i Cesarstwie z przes. poczt.	„ „ 7.—	„ „ 3.50	„ „ 1.75
Za granicą i za oceanem „ „	„ „10.—	„ „ 5.—	„ „ 2.50

Za odnoszenie do domu 15 kop. kwartalnie. Numer pojed. kop. 15. Zmiana adresu — 20 k.

CENA OGŁOSZEŃ: Na 1 str. okładki 60 kop. Na 2 str. okładki, przed tekstem 40 kop. Nadesłane, w tekście—75 k. Reklamy—40 k. Ogłoszenia na 3 str. okładki 20 k. Na 4 str. okładki—30 k. Ogłoszenia obliczają się na petit.

Wydaw. „Warszawska Spółka Nakładowa“. Redaktorka odpowiedzialna Izabela Arturowa Glisczyńska.
Kierownik literacki Wacław Grubiński.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Królewska 27. Telefon 152-05.

Druk L. Bilińskiego i W. Maślankiewicza, Nowogrodzka 17.